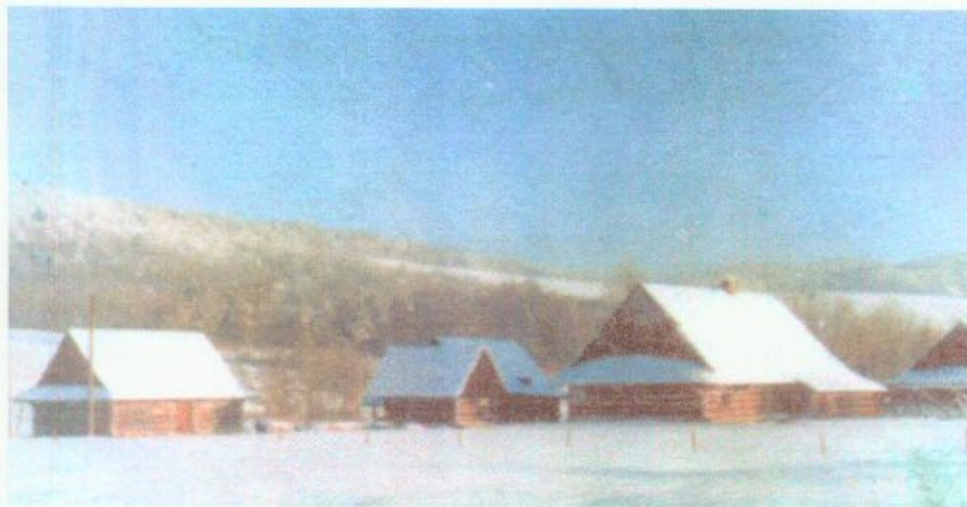




Aleksander Chudyk



KASARNIA POWODEM DRAMATU 1939-1944

2002 Rok

KASARNIA

POWODEM DRAMATU 1939 - 1944

Gruba warstwa gęstej mgły, nie tylko utrudniała widoczność na ziemi, ale także wyraźnie zasłaniała i słońce.

O tej porze roku, lato wkroczyło w ostatnią fazę swojej dekady. Prawem natury, każdy następny dzień stawał się coraz to krótszy od dnia poprzedniego.

Kalendarz odmierzył już 14-sy dzień września 1939 roku. Pomimo, że koniec lata miał nastąpić już za kilka dni, to jednak słońce dogrzewało jeszcze bardzo solidnie.

Temperatura w porze obiadowej nie była mniejsza, aniżeli w środku dnia miesiąca lipca.

Dzięki takiej łaskawej pogodzie, wielu opóźnionych rolników zbierało jeszcze drugi, a niektórzy już trzeci pokos pięknego zielonego siana.

Wielki kierunek zmiany jaki już nastąpił w naszym życiu od 1-go września tego roku, nie miał i nie mógł mieć wpływu na zmianę biegu pogody akurat z przyczyn okupacyjnych naszego kraju.

Odwieczne określone pory roku biegły bez zakłóceń swoimi wyznaczonymi torami.

Przyroda nieubłagalnie wyznaczała rolnikowi czas pracy, bez względu na to, czy on miał dobry czy zły humor, czy siły i zdrowie mu na to pozwalają, czy też nie. Trzeba było rano wstać i według biologicznego zegara, obsłużyć w pierwszej kolejności inwentarz żywy a następnie podejmować te prace, które w dniu następnym obniżały już swoją jakość.

Często podejmowane przez rolnika decyzje przerastały jego możliwości i siły, a skutek tego, był

tylko jeden, planowane zyski ponownie powracały do ziemi.

I tak to jest, że przyroda rządzi się swoimi sztywnymi prawami, a mianowicie, że w poniedziałek jest za wcześnie na zbieranie plonu a w czwartek okazuje się, że już o dwa dni za późno.

Nawet najwyższe umiejętności podejmowanych decyzji, nie zdołały zastąpić potrzebnej siły i ilości rąk do pracy, a tych zaczęło w gospodarstwach ubywać.

Początkowo Niemcy, którzy utwierdzali swoje okupacyjne prawa, zabierali młodych mężczyzn do wykonywania swoich prac nie bacząc na pilne sezonowo prace w gospodarstwie.

Twardo i bez kompromisowo realizowali ważne dla siebie wyznaczone wojskowe cele.

Pierwsze prace jakie w dużym pośpiechu realizowali to utwardzanie i wyrównywanie lokalnych dróg, które na ten czas były w złym stanie.

Udrażnianie przydrożnych rowów aby z maksymalizować odpływ wody i zlikwidować zastoiska i oczka wodne.

A trzecim ich zadaniem było zaciągnięcie wojskowej niezależnej linii telefonicznej, która miała połączyć obiekty wojskowe.

Wszystkie te prace wykonywane były ludnością cywilną, jak również materiałem pochodzącym z lasów gospodarskich.

Te pierwsze wykonane roboty zdecydowanie zapewniały im lepsze połączenie pomiędzy miejscowościami i placówkami wojskowymi.

Takie desperackie metody, jakie zaczęli stosować, nie tylko paraliżowały prace rolnikom, ale miały one także wielki wpływ na obniżanie

samopoczucia ludności powodowane ograniczaniem wolności osobistej i praw obywatelskich.

Swoją przewagę militarną nad okupowaną ludnością cywilną, nie tylko okazywali, ale także absolutnie ją wykorzystywali.

Na początek nakazali sołtysowi aby pilnie opróżnił miejscową szkołę powszechną ze szkolnego sprzętu i pilnować jej, aby nie została broń Boże uszkodzona.

Dawało to Smereczanom do myślenia, że zostanie ona wkrótce zajęta przez ważne osobistości.

Przypuszczano, że może to być przedstawiciel ze strony administracji okupanta, nadzorujący wieś i wszelkie nakładane na nią obowiązki.

Zaraz od początku miesiąca września, wprowadzony został ostry system nocnego wartowania wsi, w liczbie co najmniej dwóch osób.

Polegało to na tym, że nocną służbę pełnić powinni po dwie osoby z kolejnych po sobie domów. Miejscem pełnienia warty miała być wiejska droga, którą należało spacerować od zmroku aż do rana.

Jak się po niedługim czasie okazało, że nocne stróżowanie nie mogło być, wypełnianie tak sobie na niby. Po pierwszej doraźnej kontroli wpadkowicze zostali surowo ukarani.

To dzięki temu, że na swoją obronę mieli istotne tłumaczenie, że w tym czasie, kiedy nie było ich na drodze pomagali jednemu gospodarzowi przy wycieleniu krowy.

Jak na początek było to dobre alibi na ich obronę, bo kara została im wyraźnie z łagodzona.

Inaczej byliby zapisani na czarną listę jako pierwsi do wywiezienia na przymusowe roboty

Po tym incydencie, sołtys został zobowiązany do wprowadzenia zeszytu, w którym należało odnotowywać wszelkie ważne wydarzenia bądź zaobserwowane zmiany.

Nikt z mieszkańców nie miał najmniejszej wątpliwości, że okupant wprowadza surową dyscyplinę i okrutne zniewolenie.

Z każdym dniem zaczęliśmy tracić wiarę do spokojnego życia. Nasza przyszłość stawała się wielką zagadką.

Z okolicznych miejscowości i miasteczek dochodziły także niepokojące wieści o aresztowaniach, księży, nauczycieli, ludzi nauki, byłych wojskowych.

Żydom odbierano kamienice i wszelaki majątek trwały np. tartaki, młyny, masarnie, ziemię itd.

Wydarzenia te wzbudziły wielki niepokój wśród ludności cywilnej.

Na początku października mieszkańcy Smerecznego dowiedzieli się, że naszą szkołę zajmą żołnierze straży granicznej do patrolowania granicy.

Sołtys wysłał furmanki do Dukli po meble dla nich i inne wyposażenie.

Zanosilo się na to, że ponownie młodzież w wieku szkolnym pozbawiona zostanie normalnego powszechnego nauczania. I tak się stało.

Sprawą nauczania okupant się nie zajmował. O tę sferę naszego życia, mogli zadbać tylko rodzice.

Nie czekając na dalsze poczynania okupanta, weszliśmy w pełny okres prac jesiennych. Gospodarze na całą parę przystąpili do kopania ziemniaków,

buraków, wycinania kapusty, siewu ozimiu oraz gromadzenia ściółki dla inwentarza na okres zimy.

Następną jesienną pracą, było wożenie z lasu drzewa na opał. Na te potrzeby przeznaczano przeważnie odpady w postaci wywrotów, uschniętych jodeł i gałęzi.

Była to ciężka robota, wykonywana ręcznie pilami i siekierami.

Wysilek był ze wszech miar opłacalny dlatego, że drewniany opał był wysoce ekologiczny.

Ewa i Michał nie spełniona miłość.

Na pole, do wykopania reszty ziemniaków i wycięcia zagonu kapusty, wybrała się Ewa sama.

Zaopatrzyła się we dwa koszyki, kilka lnianych worków i tasak.

Ciepła i słoneczna pogoda tego dnia, pozwoliła jej na rozebranie się do bluzeczki i bleszka własnoręcznie zrobionego z czarnej owczej wełny.

Jej jasne włosy, zaplecione w dwa grube warkocze, długością sięgały aż do pasa. Nie muszę dodawać na ile przyozdabiały jej młodą zgrabną sylwetkę. Przerzucała je z podkreślaną dumą raz na plecy, innym razem przesuwała je do przodu.

Z jej pięknej urody byli dumni nie tylko rodzice, ona sama starała się przyciągać oko każdego przystojnego mężczyzny.

Długa plisowana spódnica i przypięta z przodu zapaska, z łatwością przykrywała jej całe łydki.

Ubrana była ładnie, jednocześnie zachowując w pełni formę stroju regionalnego, do którego przywiązywano na wsi tak wielką wagę.

Nie bez powodu starała się ładnie do tej pracy wystroić. Spodziewała się, że dołączy do niej jej chłopak, z którym dwa lata utrzymywała bliską znajomość.

Jego dłuższą nieobecnością była jakby troszeczkę zaniepokojona. Co chwila podnosiła głowę do góry zerkając w lewo i prawo, wypatrywała nadejścia Michała.

Akurat Misiek zjawił się nieoczekiwanie z innego kierunku niż się go spodziewała.

Dając jej duży dowód miłości, krokiem pośpiesznym zbliżył się do stęsknionej Ewy.

Szczere spojrzenia i słówka powitania były bardzo czułe, ale bez pocałunku. W tamtych czasach nie było zwyczaju, aby młoda para pozwalała sobie na pocałunek na oczach ludzi.

Oznaczało to zakazany owoc, a nade wszystko uszanowanie dobrego starego obyczaju.

Michał natychmiast zdjął z pleców marynarkę wyciągnął Ewie z rąk motykę i wyręczył ją w wykopywaniu ziemniaków.

Ewie pozostało tylko zbieranie i wrzucanie ich do koszyków.

Robota ruszyła z nową siłą a utracony przez Ewę czas został szybko nadrobiony. Każdą małą przerwę wykorzystywali na zagłądanie sobie w radosne twarzązki i roziskrzone oczka. Czuli w tym momencie wielką radość życia.

Byli oboje bardzo młodzi, Michał miał 20 a Ewa nie całe 18 lat. Ewa rodem pochodziła, z gospodarstwa zamożnego i zacej rodziny.

Zaś Michał, był bardzo przystojny i dobrze zbudowany. Sylwetkę miał mężczyzny dobrze wysportowanego. Był chłopakiem dobrze ułożonym, spokojnym pochodził z milej szanowanej rodziny.

Bardzo się oboje kochali. Czasy kiedy sobie nawzajem adorowali były jeszcze w miarę spokojne a przyroda jaka ich otaczała przeurocza.

Jednak nie długo już tego spokoju i ciszę rodzinną smakowaliśmy.

Coraz częściej odwiedzały nas jakieś patrole niemieckie. Na koniach, na motocyklach, pieszo z dużymi psami. Ci ostatni przychodzili z Barwinka. Ich częste wizyty zmuszały nas do zachowania ostrożności, trzymania się na baczności.

Ale czy związani głęboką miłością, wzajemnym uczuciem, młode gorące serca, da się zniewolić?

Chyba nie. Jak świat stary, nikt na miłość nie znalazł cudownego leku. Z resztą każda miłość jest jak nieopanowana burza, nie zna granic, nie zna przeszkód i nie zna zakazów.

Taką właśnie miłość przyrzekli sobie nawzajem Ewa i Michał. Nic bardziej miłszego dla nich nie było, niż być blisko siebie. Napawać się miłymi słówkami i spojrzeniami. Najwięksi mędracy tego świata powiedzieli, „że z miłością lżej się żyje.”

Ilość zaplanowanej roboty zatrzymała ich aż do zmroku. Ale zapatrzeni w siebie, zachodzącego słońca nie zauważyli.

Za małą chwilę podjechał wóz. Brat Ewy Teodor i Michał włożyli worki na skrzynię, przyhamowali jedno koło i wóz skrzypiąc potoczył się z góry w kierunku domu.

Ewa z Michałkiem idąc wolniutko obok siebie, schodzili z niewielkiej góry, podążając za wozem.

Pomimo że dróżka zasłonięta była wysoką tarniną, to jednak nie szli pod rękę, nawet nie trzymali się za ręce. Ewa była dziewczyną bardzo skromną i wstydliwą.

Po drodze napotkali Hanię, była rówieśniczką i zarazem bliską sąsiadką Ewy.

Hania z pastwiska gnała przed sobą czwórkę rogacizny i małe stadko owiec.

Czule się z nią powitali i żartując zapytali a gdzie zgubiłaś pomocnika. A został za krzakami bo pogubił rumaki i teraz przy zmroku je szuka, odparła żartem Hania.

Ale patrzę na wasze rozbawione i wesole twarze, aż wam pozazdrosczę, takiego radosnego humoru, rzekła Hania. Mówię szczerze, że na tą chwilę nie brakuje wam nic więcej prócz ptasiego mleczka.

Jesteście tak uroczą i zakochaną parą, jak z obrazka zdjęci, czego nie dałoby się w żaden sposób zataić. Chyba nie wracacie z pracy, bo nie widać na was najmniejszego zmęczenia. Na ten miły komplement uśmiechnęli się do się oboje.

Popatrz Haniu, jaka duża fura ziemniaków jedzie przed nami, to było naszym popołudniowym zajęciem.

Rozchodząc się, Ewa zaprosiła Hanię na wieczór w odwiedzin. Ależ jak śmiałabym wam w tej chwili przeszkadzać. Nie będziesz Haniu przeszkadzać bo Michał od razu idzie do domu wyjaśniła Ewa.

W takim razie dziękuję za zaproszenie jak tylko uwolnię się od pracy, zaraz do ciebie wpadnę odrzekła Hania.

Tymczasem Michał przy pożegnaniu, śmiałym ruchem złapał za rękę Ewę i przytulając do siebie powiedział, kocham cię bardzo aż trudno mi odejść, a może zostać? Ewie policzki zarumieniły się, spojrzala mu prosto w oczy i nieśmiałym głosem odpowiedziała, i ja ciebie też. Nie czekając odpowiedzi Michał odwrócił się i powoli poszedł, zresztą tak się poprzednio umówili.

A nie zapomnij przyjść jutro. Nie zapomnę, postaram się tak jak każdego dnia, przyjść przed wieczorem. Michał pomachał ręką i z wesołą, uśmiechniętą buzią przyspieszał kroku w kierunku swojego domu. Tam czekało na niego dużo pracy.

Osamotniona Hania.

Rozmowa półszeptem Hani z Ewą na przydomowej ławeczce przeciągnęła się do późna.

Hania ciekawska, ciągle naciskała Ewę aby się przyznała czy na polu całowała się z Michałem. Zapiierając się ze spokojem odpowiadała Ewa że nie, że na to jeszcze nie nadszedł czas.

Hania naciskała nadal nie dawała jej wiary, aż wymusiła na Ewie zakłęcia się. I na tym poprzestała.

A ja mówi Hania, byłam dzisiaj za Garbem na pastwisku z Andrzejem i tak czule do siebie tuliliśmy się, że gdyby nam nie przeszkodził jakiś zbłąkany piesek to by do tego doszło.

Co ty mówisz i nie bala byś się? A czego odrzekła Hania, nic w tym strasznego. Jak się już umie to nie ma się czego bać.

U ciebie Ewuniu jest inna sytuacja domowa niż u mnie. Ty kiedy będziesz wychodziła za mąż to

dostaniesz duże wiano. A ja? Ja tymczasem muszę zdobywać męża innym sposobem.

Może i tak się wydarzyć, że ja nigdy nie wyjdę za mąż i pozostanę na całe życie samotna.

W naszym domu jest aż sześć dziewcząt, na jakiegokolwiek wiano w pieniądzech nie ma szans żadna z nas. Żaliła się szczerze przed swoją koleżanką Hania.

Oglądam się często wokół siebie i rozważam, że niemal wszystkie moje koleżanki mają chłopaków, a ja wciąż sama.

A przecież natura czy ktoś biedny czy bogaty, albo ładny czy brzydki, swoje wymagania ma.

Taką maksymę życia ja już przyjąłem i taką drogę dla siebie wybrałem. Pozostaje mi liczyć, tylko na łut szczęścia. A może jednak, los uśmiechnie się i do mnie? Trzeba próbować.

Jak wiesz z waszego domu do Ameryki na zarobki, pojechało aż trzech chłopów, a twój ojciec był aż trzy razy.

Natomiast z mojego domu nie był nikt.

To prawda, odzywa się na te słowa Ewa, ale widzisz, mój tato pożyczył trzysta dolarów dla cioci jak wydała za mąż Justynę, od tego czasu upłynęło już siedem lat i nikt nie oddaje.

A teraz jak widzisz, nadeszły takie trudne czasy, że chyba nam już nigdy nie oddadzą.

Mam jeszcze i taką nadzieję, że ten stryjek, który pozostał na zawsze w Ameryce na pewno mi pomoże, będę go oto sama prosiła. Snula swoje marzenia Ewa.

Zbliżała się północ, księżyc swoją wielką jasną tarczą sprawił, że widno było prawie jak w normalny dzień.

Hania nie przeciągając, pożegnała się i pobiegła do domu, do którego miała nie dalej niż sto kroków.

Ewa otulona grubą chustą pozostała jeszcze na jakiś czas sama na ławeczce.

Głęboko rozmyślała nadal nad tym sekretem z jakiego zwierzyła się jej koleżanka.

Nie mogła tego zrozumieć, i zadawała sobie sama pytania, że Hania taka odważna? że takie rzeczy można czynić? że Andrzej wcale nie był jej chłopakiem, itd. itd.

A gdyby przydarzyła się jej nieprzewidziana wpadka i co w tedy?

Jaki to wielki wstyd przed rodzicami, przed sąsiadami, przed koleżankami. W rozumowaniu Ewy jej postępowanie było niewybaczalne.

Położyła się Ewa spać, ale sen przyszedł jej dopiero tuż przed świtem. Cała noc minęła jej na dalszym rozmyślaniu.

(Uwaga czytelniku. Imiona tej trójki zmyślone ale dialog osnuty został na prawdzie).

Jesienny zbiór płodów rolnych dobiegł końca, trwała jeszcze dalej zwózka drzewa opałowego.

Pogoda z początku drugiej połowy jesieni była jeszcze całkiem łagodna. Lekki mróz występował jedynie w nocy.

W porze po południowej na łąkach popasały się jeszcze owce. Szkody już żadnej wyrządzić nie mogły, ale dozorować ich należało, bo w każdej chwili mogły być zaatakowane przez wilki.

Zdarzały się przypadki, że w środku dnia z lasu wychodził wilk i podkradał się bliżej pasących się owiec, czasami z dobrym skutkiem. Blisko wsi musiał zadowolić się tylko jej uduszeniem, bo do lasu ludzie zabrać mu nie pozwilili.

Szkolę zajęła straż graniczna.

Od kilku dni, nie wielka grupa niemieckich żołnierzy zamieszkała już w szkole.

Soltys na ich polecenie wyznaczył już grupę mężczyzn do przygotowania dla nich opału na całą zimę.

Mężczyźni ci pracowali przez prawie dwa tygodnie, ręcznymi piłami i siekierami. Drzewo lasu wywozili końmi przeważnie smykiem.

Przerąbywanie krótkich klocków dokonywali mężczyźni już na ich placu.

Gotowe porąbane drzewo, ułożyli w duże przyzmy tuż obok budynku i dopiero zeszli z placu.

Żołnierze tymczasem szczegółowo zapoznawali się ze wsią i zaprowadzali swoje porządki, które miały poprawić estetykę wsi, a polegać one miały na: likwidowaniu bałaganu i nieporządków w podwórkach przyzagrodowych u gospodarzy.

Swoim autorytetem zobowiązali do natychmiastowego usuwania lub układania obornika w kwadratowe przyzmy, podobnie i drzewo opałowe, które bywało w rozsypce i w okropnym nieładzie.

Poprawianie ogrodzeń wokół posesji oraz trzymanie psów na uwięzi przy zabudowaniu.

Wysprzątanie podwórka ze wszystkich rupieci i zbędnego sprzętu. A także cotygodniowe zmiatanie drogi na długości przylegającej do posesji gospodarstwa. A także wykaszanie pokrzywy, która sięgała w wielu przypadkach do strzech.

Nie mogę się powstrzymać aby do tego nie dodać własnego komentarza, a mianowicie że we wsi zrobiło się od razu widniej. Wieś przybrała nowy wizerunek nawet całkiem niezły.

Od tej strony wbrew zwyczajowej zasadzie, muszę jednak pochwalić okupanta, mianowicie, że takiego smaku estetycznego dla wsi, brakowało co najmniej od kilku wieków.

Z dużym wstydem a jednocześnie i z pewnym pożałowaniem westchnę, że potrzeba było aż wrogiego okupanta, żeby we wsi zapachniało choć odrobiną cywilizacji. To smutna prawda, ale prawda.

Na szczęście wprowadzona dyscyplina zachowała swoje surowe zasady na dłuższy czas.

Bez najmniejszej wątpliwości, że z dużą korzyścią dla wsi. No i dobrze, chociaż z oporem ale do przodu. Co najciekawsze, że ludzie znaleźli na to czas.

Tak samo i cały teren szkoły natychmiast ogrodzony został wysokim płotem z kołczastego drutu. Wykonali to mężczyźni ze wsi pod nadzorem żołnierzy.

Każdą robotę na rozkaz okupanta siłami wiejskimi, organizował tylko soltys.

Był on ich gońcem, rzecznikiem, tłumaczem, egzekutorem i czym tam jeszcze. Musiał ciągle ganiać o każdej porze na każde ich zawołanie.

Na wywołanie strachu w środku tego ogrodzenia biegali na luzie wieki i bardzo agresywny pies.

Ogrodzenie to przez długi czas omijali ludzie dalekim łukiem. Na pozór wyglądało to tak, że on może przeskoczyć płot. Nie ufał mu nikt.

Nakazali sołtysowi aby napisał i powiesił na widocznym miejscu ostrzeżenie o treści:

„ Zakazu zatrzymywania się przechodniów przed budynkiem i ogrodzeniem oraz fotografowania się w pobliżu ich kwatery, posesji i ogrodzenia.”

Było to głupie, ale trzeba było przestrzegać, kto się niepotrzebnie zagapił to zaraz oberwał.

Podobne placówki jak ta w Smerecznym powstały w Barwinku, Olchowcu, w Krempnej i wielu innych wioskach w pasie przygranicznym ze Słowacją. O tym samym znaczeniu.

Na częste spotkania komendant naszej placówki kazał się zawozić do sztabu, który mieścił się w Barwinku.

Ten obowiązek spadł na mojego tatę, bo najbardziej podobały się komendantowi nasze koniki.

Była to bardzo niewdzięczna służba, którą tato wypełniał z dużą niechęcią.

Ale był to rozkaz, na który należało się stawić co do sekundy. Za to z innych przymusowych prac tato był zwalniany.

Pamiętam, że często tato przynosił z tej podróży, pachnące papierosy i cygaro, którymi potem częstował swoich kolegów. Sam nie miał nalogu zagorzałego palacza. Gromadził je także dla dziadka, który raz w tygodniu przyjeżdżał z Dukli w odwiedziny.

Ich obecnością i dyscypliną jako wojskowych byliśmy mocno zainteresowani. Podglądaliśmy ich czynności, ćwiczenia i zachowanie.

My młoda dzieciarnia schodziliśmy się na podwórko koło sołtysa, skąd do ich placówki było zaledwie 100 metrów i stąd wpatrywaliśmy się w ich każdy ruch.

Ci młodszy żołnierze, czasami do nas przychodzili i proponowali nam kupno kart za jajka lub za kurczaka. Ten handel nawet się przyjął, bardzo nam on odpowiadał. Prawdziwych kart zawsze nam brakowało. W późniejszym okresie sprzedawali także i papierosy. Skutek był taki, że 99% młodych chłopaków od 12 lat zaciągało się prawdziwym dymkiem.

Zimowe wieczory i hazard.

W krótkim czasie co drugi z nas miał własną talię prawdziwych kart. Od tej pory graliśmy całą zimę, bo do szkoły nie chodziliśmy. Ten wolny czas wypełnialiśmy ciągłą i nie znudzoną grą od rana aż do nocy. Utworzyło się około 15 grup karciarzy.

Te karty to, zamiast edukacji oświatowej, zajmowały one czas, który powinien być przeznaczony na odrabianie lekcji, połykanie literatury, poznawanie historii, geografii, nie mówiąc już o konieczności gimnastykowania umysłu przedmiotami ścisłymi. Dzisiaj oceniam, że był to bezpowrotnie stracony czas.

Wielu, wielu w tym czasie młodych ludzi tego straconego czasu już nigdy nie nadrobiło. Pozostali na bardzo niskim poziomie oświaty.

A przebieg tego był taki. Pierwszą zimą z 1939 na 1940 rok spędziliśmy utopieni w kartach. Nawet i ojcowie nie wiele nam w tym przeszkadzali bo sami oczarowani byli pięknymi taliami wydanymi w cudownych kolorach.

Oni na kartach, też często przesiadywali do późnych godzin nocnych, zapominając o ważnych obowiązkach domowych. Ojcowie sami z trudem bronili długich nieobecności w domu przed swoimi zapracowanymi żonami.

Ta forma wypełnienia wolnego czasu, przerodziła się z czasem w koszmarny i niebezpieczny hazard.

Niemcy uczyli nas nowych systemów posługiwania się kartami. Poznając nowsze sposoby, dotychczasową grę w „durnia” przekształciliśmy w oczko grając w drobne fenigi. Ale tych nam ciągle brakowało, nie każdy je posiadał. Trzeba było coś nowszego wymyślić.

Wpadliśmy zatem na nowy pomysł, aby zastąpić fenigi guzikami, różnego kalibru, od małych koszulowych aż po duże od kurtek, kozuchów i guń.

Postanowiliśmy, że każdy gatunek guzików miał inną wartość przeliczoną na fenigi. Przy tej zaciętej zabawie dochodziło do sporów i bójek.

Po nie długim czasie doszło do wielkiego paradoksu, bo nikt z domowników nie miał guzika, począwszy od koszuli po przez kalesony, spodnie, marynarki, a kończyło się na kurtkach, kozuchach i guniach. Po prostu nie mieli się czym zapinać.

Był to już koszmar, jeżeli nie nazwać tego poważniej katastrofą odzieżową, która po pewnym czasie stała się odzieżą nie użyteczną.

Ta sytuacja zmusiła rodziców do odebrania nam kart i do wyszukania nam innych obowiązków.

I od tej pory, ręcznie czyściliśmy zboże do wiosennego siewu. Ta praca nie miała końca. To była kopalnia wody, bo czy więcej jej człowiek wyciągnął na wierzch, tym więcej jej dopływało.

Umówiliśmy się na strajk i wydaliliśmy rodzicom ultimatum, żądając połowę czasu na grę w karty a połowę na czyszczenie zboża.

Swój bunt uzasadniliśmy tym, że bołą nas oczy i wiele zanieczyszczeń przepuszczamy. Był to silny argument i doprowadził do ustąpienia nam.

Zima tego roku, okazała się bardzo surowa. Zaczęła się pod koniec listopada, a śnieg z małymi przerwami posypywał każdego dnia.

Do świąt Bożego Narodzenia grubość warstwy wynosiła już ponad 100 centymetrów.

Chciałoby się powiedzieć, że akurat ta piękna zimowa natura też nie przyjaźnie przywitała okupanta.

Pokazała mu najgroźniejsze swoje oblicze, jak by pragnęła go przy tej okazji skarcić.

Na dodatek pojawiły się wielkie zadymki, zawieje do tego stopnia, że miejscami zasy pył śnieżny przekraczały dwa i pół metra, pomiędzy zabudowaniami. Na niektórych odcinkach drogi poza zabudowaniami zasy dochodziły nawet do 4 metrów.

Ta dolegliwość, jak się później okazało, dotknęła bardziej nas mieszkańców niż naszego najeźdźcę.

Oni bardzo szybko znaleźli, na ten kataklizm skuteczne rozwiązanie. Zagnali nas wszystkich od 14 do 70 lat do odśnieżania. W pierwszym dniu pod

wplywem silnej presji z każdego domu wyszło nawet 2, 3, i 4 osoby, z tego ze sprzętem dwie lub trzy.

Kazali zabierać ze sobą każde narzędzie zbliżone wyglądem do łopaty, nawet i małe szufelki od wybierania popiołu z pod kuchennej płyty.

Zdawać by się mogło, że będą problemy z brakiem sprzętu itp. Jednak nie.

Na dzień następny rozkazali zrobić sobie narzędzie z deski podobne do łopaty i stawić się na drodze przed domem o godzinie 9 tej rano.

To zabrzmiało jak wojskowy rozkaz frontowy. I bez większych przeszkód, każdy potrzebne narzędzie posiadał. Odsnieżanie rozpoczęło się dokładnie z zapowiedzianym przez żołnierzy czasem.

Przez pierwsze trzy dni utorowano drogę odkrytym tunelem przez całą wieś. Wysokość ścian tunelu w niektórych miejscach sięgała na wyciągnięcie ręki wysokiego mężczyzny. Długość odsnieżonego odcinka wynosiła ponad jeden kilometr.

Walka z tymi zaspami była heroiczna przez całe trzy dni. Każdy pracował dając z siebie maksimum wysiłku. Wszyscy mieli świadomość tego, że nie dadzą nam spokoju dopóki nie odsnieżymy całej wsi.

Każdemu z resztą zależało na tym, aby jak najszybciej od tej roboty się uwolnić. Takie przypuszczenie i marzenie mieli wszyscy pracujący. Nam przecież więcej odsnieżonej drogi nie było potrzeba. W poprzednie lata Smereczanie do Tylawy do Mszany czy do Wilśni przebijali się saniami przez pola, omijając fachowo każdą zaspę i przeszkodę.

A jeżeli zaistniała potrzeba drobnego zakupu, przyskało się do Dukli na nartach.

Jeśli był przypadek ciężkiej choroby, to i tak w czasie zimy nie było szans chorego wieść saniami 40

km. do lekarza. W takich okolicznościach chory zdany był na wiejskich znachorów.

Tego rodzaju pomoc medyczna funkcjonowała tak samo i latem, ze względu na brak pieniędzy jak i dużej odległości do lekarza. Był to wiele wiekowy problem społeczeństwa dalekich okolic.

Po wykonaniu tej ciężkiej roboty, okazało się, że pozostało jeszcze około dwa kilometry w kierunku Tylawy. Wiadomość ta wszystkich zatkała.

Za wsią zaspą, miejscami były znacznie masywniejsze. Wszyscy bez trudu uświadomili sobie, że ta robota będzie trwała znacznie dłużej.

Ochota do dalszej wyczerpanej pracy każdego już opuściła. Na następny dzień do odsnieżania, stawiała się połowa ludzi, reszta pozostała w łózkach symulując chorobę.

Niemcy się wściekli, przywołali sołtysa i polecieli mu aby zebrał ludzi i zorganizował szybkie odsnieżanie. Sołtysowi udało się przyprowadzić zaledwie parę osób. Na pytanie gdzie jest reszta odpowiedział, że chorują.

Zaczęło się warczenie na pracujących ludzi, co jeszcze bardziej osłabiło tempo pracy. Sytuacja mocno zaostrzyła się między wsią a placówką.

W następnym dniu ludzie zabrali ze sobą, najmniejsze łopaty i w dodatku uszkodzone, które przy pracy się łamały. To zjawisko absolutnie ich rozsierdziło i pognali ludzi do wymiany sprzętu. Czas odsnieżania w tym dniu, żołnierze przedłużyli do ciemnej nocy, co świadczyło o tym, że w ten sposób chcieli udowodnić swoją przewagę.

Zaistniała sytuacja zmartwiła mocno sołtysa. Wieczorem wybrał się do kilka domów i poprosił aby większa liczba wyszła do odśnieżania bo może dojść do represji ze strony Niemców, i zakończyć się może dla niektórych wielkim cierpieniem.

Zrozumienie wagi sprawy było absolutne. Rano ku wielkiemu zdziwieniu Niemców, do pracy stawili się ponownie pełni stan.

W tym czasie młodzież była jeszcze w pełnym składzie. Żaden młodzian nie opuścił do tego czasu wsi. I nic dziwnego trwała wciąż wojna.

Zdrowej i pięknej jak kwiat młodzieży we wsi, była spora gromadka. Do pracy wyszli wszyscy i chłopcy i dziewczyny.

Szarpanina z zaspami w kierunku Tylawy trwała całe dwa tygodnie. Niemcy jakby troszkę sfołgowali dyscyplinę. Pozwalali odpoczywać, i odchodzić bez zgłaszania za swoją potrzebą.

Obydwe strony powstałe napięcie rozładowały kompromisowo. Ale prace przy odśnieżaniu trwały ciągle aż do wiosny, czy była, czy nie była potrzeba. Oni mieli rozkaz od górny utrzymania pełniej przejezdności dróg.

A my jako społeczeństwo zniewolone musieliśmy być im posłuszni. I tak trwało to przez całe cztery zimy. Piękna zimowa fantazja jaką napawali się mieszkańcy od setek lat, zamieniona została okupacyjnymi nakazami, w obrzydliwą zmore.

Po dziennym i ciężkim odśnieżaniu, młodzież nadal długie zimowe wieczory z 1939 na 1940 rok, spędzała według poprzednich zwyczajów i tradycji.

Nie zamierowali z tych młodzieńczych przyjemności tak szybko rezygnować, ze względów na takie czy inne poczynania okupanta.

Nadal dorośli chłopcy i dziewczęta zbierali się wieczorami w większych domach, oczywiście na zaproszenie dziewczyny i wspólnie na wesoło uprzyjemniali sobie czas.

Z reguły dziewczyny przędły len bądź owczą wełnę, kawalerka grała w karty. Przy okazji imienin bądź urodzin organizowali tańce.

Problemów z kapelą nie było, ponieważ wielu mężczyzn starszych i młodych umiało grać na skrzypkach. Młodzież grała, bez interesownie nie bacząc na jakiegokolwiek wynagrodzenia.

Na tego rodzaju spotkaniach kojarzyły się zakochane pary, zaś te istniejące kontynuowały swoje przyjemne romanse.

Piękne były tamte czasy i piękne obyczaje, pełne uroku, ludzkiej życzliwości i nie przemijającego smaku.

Marysia i Michał, miłość i dramat.

Na takim wieczorku zapoznali się przed dwoma laty Marysia Chudyk (dom 17) córka urzędującego sołtysa i Michał Bugiel (dom 1) syn poprzedniego sołtysa, który przed dwoma laty z tej funkcji zrezygnował.

Michał miał 20 a jego wybranka 18 lat. Oboje byli dobraną, sympatyczną i ładną parą. Ich rodzice nie kryli wielkiego zadowolenia, i miarkowali, że za rok lub dwa będą chcieli się pobrać. Zaś oni oboje bez przykrywania demonstrowali przed swoimi kolegami i koleżankami swoją bezgraniczną miłość.

Ciągle przysiadali obok siebie i trzymając się za ręce czarowali się nawzajem błękitnymi oczkami. Tutaj nie było wątpliwości, że ktoś może ich rozłączyć. Nie potrzeba było innego dowodu, jak tylko ten, jak jedno drugiemu było do końca wierne.

Tak Michał B. jak i Marysia CH. byli z zamożnych domów. Mieli więc dużą gwarancję, że na zagospodarowanie otrzymają od rodziców ziemię oraz niezbędny inwentarz.

Stałymi uczestnikami na tych wieczorkach, bywali także Ewa i Michał wspomniani na początku. W tym towarzystwie mogli bez podejrzeń ciut odważnie przytulać się, z czego nieśmiało korzystali.

Wszyscy dobrze wiedzieli, że nie tak odległa przyszłość połączy ich ze sobą. Już byli zaakceptowani tak przez rodziców jak i pozostałą społeczność.

Związanych miłością par, było znacznie więcej. One również nie z mniejszym zaangażowaniem wykorzystywały sposobne miejsce, do wyznawania sobie uczuć i marzeń.

Akurat okres zimy ze względu na mniejszy nawał prac, stwarzał im możliwości częstego przebywania ze sobą.

Cieszyli się z życia, śpiewali, tańczyli, przytulali się do siebie, szeptem wyznawali sobie wzajemną miłość. Ta piękna tradycja, pełna szczęścia i szczerości, trwała od kilku wieków i wiernie przechodziła z pokolenia na pokolenie.

Rozchodząc się po spędzonym wieczorku do swoich domów, ci śmielsi i odważniejsi kawalerowie odprowadzali partnerki aż pod drzwi.

Ewa z Michałem również wzięli się za rękę i wyciągając nogi z głębokiego śniegu, podążali w kierunku domu. Przechodząc przez strumyk zatrzymali się tym razem przy otwartej wozowni.

Tutaj przytulali się, szeptali sobie czule słówka, Ewa jakby z mniejszym niż dotychczas oporem pozwoliła się Michałowi pocałować.

No widzisz powiedział Michał, więcej odwagi, przecież nie bolało.

Myślę, że pocałunek to jeszcze nie grzech. Odpychając go leciutko Ewa wyksztusiła, no, no, od pocałunku do grzechu już nie daleko. Jak dobrze wiem, od tego też się nie umiera, żartując odpowiedział z uśmiechem Michał.

Żegnając Ewę zapytał, a jutro u kogo spotykamy się na hulankach. U (Nastki dom nr 23), obok ciebie, odpowiedziała Ewa.

Przyjdę wcześniej i przyniosę ze sobą wełnę do skubania, pomożesz mi?

Ależ z całą przyjemnością. Na moją pomoc możesz liczyć całe życie, odpowiedział szczerze Michał.

Zaś następna wieczornica po kilku dniach, odbyła się u Pelagii Kucyrka w (domu nr 10). Była on młodą mężatką i nadal bardzo towarzyską.

Nie zrywała swoich emocjonalnych kontaktów z młodszymi koleżankami.

Reszta młodzieży poza Ewą i Michałem powędrowała w górę wsi. Z nimi zabrał się Michał B. z Marysią. Oni każdego wieczora oboje wchodzili do mieszkania Marysi bez względu na godzinę.

Michał zawsze pozostawał u niej na dłuższą chwilę.

Wychodząc z domu pożegnał zawsze jej rodziców a Marysia odprowadzała go na zewnątrz domu. Tutaj przez małą chwilkę czule wyznawali sobie miłość. Obejmując się obydwoma rękami, po długim pocałunku rozstali się.

Jeszcze pozostając po za progiem domu Marysia, pomachała mu ręką na znak pożegnania i pół głosem zawołała, kocham cię mój drogi Miśku tak mocno jak tylko mogę. W ciemnym zmroku, wysoka sylwetka Michała szybko zniknęła jej z oczu.

Marysia powróciła do mieszkania i położyła się do łóżka.

Do północy marzyła o pięknym ślubie, o tym aby mieć go już na zawsze przy sobie, o założeniu rodziny. Te słodkie marzenia długo jej zasnąć nie pozwoliły. Chwilami własną wyobraźnią widziała, że to wszystko oddala się, hen daleko za góry, za gęste lasy. Wtedy żal wyciskał jej z oczu łzy, które ściekały po jej delikatnych policzkach.

I tak, w te romantyczne wieczory w obecności zimowego puchu, młodzież pełnym smakiem, korzystała z codziennego życia. Jedni rozkoszowali się, inni chowali się w cień i pogrążali w smutku.

Ta gruba biała kołdra pokrywająca pola, lasy, potoki, te zwisające ze strzech sople, malowały precyzyjnie romantyczny pejzaż wsi.

To piękno własnym urokiem potrafiło oczarować każdego. Był to niepowtarzalny pejzaż.

Przez dłuższy czas, młodzież nie wiedziała, że jest umieszczona na listach do wywozu na przymusowe roboty w głąb Hitlerowskiej III Rzeszy.

Obejmowały one młody rocznik od 16 lat wzwyż i sporządzone były dwa miesiące po wkroczeniu Niemców do Polski.

Młodzi jeszcze długo nie znali nieczemnych planów zmierzających do pozbawienia ich wolności, własnego domu i ciepła rodzinnego.

Wyjątek stanowiły te osoby, które na miejscu zostały zatrudnione przez Niemców do pracy na ich potrzeby oraz dzieci sołtysów. Sołtysi skorzystali z tych przywilejów tylko dlatego, że zmuszeni byli z racji pełnionej służby, pracować na ich rzecz. Jak pamiętam, dobrowolnie zrezygnować z tej funkcji nie było możliwe.

Za odmowę jej kontynuowania można było trafić do obozu koncentracyjnego.

Marysia Chudyk córka sołtysa, z tego prawa łaski skorzystała i pozostała przez pięć lat przy rodzicach. Ją nawet przy organizowanych łapankach nie tykano. Posiadała „glejt” zwalniający ją od tego obowiązku.

Drugą nietykalaną osobą we wsi, była Hania. (o niej pisałem na wstępie)

Hanię żołnierze zatrudnili u siebie do sprzątnięcia i palenia w piecu. Tą pracę wykonywała bez otrzymywanego wynagrodzenia. Po ogłoszeniu przez nich zapotrzebowania do pracy, Hania zgłosiła się na ochotnika i tam pozostała.

Otrzymała od nich „glejt”, była to tzw. „kenkarta”, która potwierdzała jej zatrudnienie.

Po dłuższym okresie czasu, dołożyli jej jeszcze pranie. Ale widywano ją często jak szła na placówkę całkiem wieczorem. Chwaliła się koleżanką, że zapraszają ją na karty.

Wiary w to nikt nie dawał, ponieważ dość często zakładała na siebie nową spódnice.

Ona jedyna we wsi, zaczęła nosić odmienną odzież, jako pierwsza zdradziła regionalny strój. W ten sposób, naraziła się nie tylko na totalną krytykę, ale także na lawinę plotek.

W towarzystwie damskim wsi, stała się na dłuższy czas tematem numer jeden. Dziewczyny unikały z nią rozmowy i wszelkich kontaktów.

Hania nie wytrzymała tych wyraźnych uników, pobiegła do Ewy na zwierzenia i prostowania plotek. Do mieszkania weszła z małym garnuszkiem i poprosiła o pożyczenie soli.

Soli nasypali jej od razu cały podstawiony pojemniczek, ale do nawiązania rozmowy nikt się nie kwapił. Zaniepokojona Hania, że wizyta jej nie zostanie spełniona, zaprosiła Ewę na zewnątrz domu.

Widzisz Ewuniu, zaczęła Hania, ja się domyślałam, że wszyscy mnie unikacie, ale nie znacie prawdy. Ja te rzeczy, które otrzymałam są za to, że im piórę bieliznę. Przywiózł ten najmłodszy po swojej siostrze, bo ona przebrała się w mundur wojskowy. Wstąpiła do armii Hitlera.

A po zatem, prosił mnie abym wytuczyla mu na święta dwie swoje gęsi. Tak po prawdzie, to on się do mnie lubi uśmiechać, a czasem i klepnie mnie, on taki ze wsi od baora no wiesz. Na razie te inne sprawy to z daleka. Na zbliżenie nigdy mu nie pozwolę.

Ja sobie zdaję z tego sprawę, że on by mnie chciał, ale to tylko na tymczasem. Na co ja nigdy się nie zgodzę. Boję się nawet tego, że mogliby mnie wyrzucić z roboty. Franc jest młody i chytry ale bardzo głupiutki i nieodpowiedzialny.

Mówię ci to wszystko z najszczerzego serca, uwierz mi Ewuniu, bo ja nie chcę cię okłamywać.

Ty wiesz, że ja zawsze mówię ci tylko prawdę.

Wierzę ci kochanie odpowiedziała Ewa ja naprawdę na ciebie nie plotkuję. Nie mam nic przeciwko temu jak ty się ubierasz. Ja tobie nie zazdroszczę.

Powiem ci, że ja bym tak samo się ubierała, ale nie mam takich strojów. One mi się naprawdę podobają, mówię ci szczerą prawdę.

Hania całą siłą przyciągnęła do siebie Ewę i serdecznie ją ucałowała.

Chciałam także opowiedzieć to wszystko, dla Ani H. (z domu nr 13) ale odpowiedziała mi, że nie ma czasu, zrozumiałam że mnie unika.

Muszę ci jeszcze jedno powiedzieć, że często mnie pytają, czy gospodarze biją świniaki. Mówią, że chcieliby kupić mięsa, ale ja im w to nie wierzę.

Na pożegnanie pocałowały się. Hania biegnąc do domu, cieszyła się, że spotkała się z dużym wyrozumieniem. Odzyskała nadzieję, że nie straciła całkowitego kontaktu z koleżankami.

Po wejściu do mieszkania, Ewa powtórzyła całą rozmowę. Wszyscy przepuścili to obok uszu.

Tylko jednym tematem zainteresowali się domownicy. Mianowicie tym, że Niemców interesuje ubijanie we wsi świń. Rozważając ten temat głębiej, bez trudu rozszyfrowano, że namawiają ją do wyraźnego donoszenia na sąsiadów. Być może, że Hania nie do końca zrozumiała ich intencję, że za tymi pytaniami kryje się podstęp, że taka informacja może zaszkodzić sąsiadom.

Wiadomość, że Niemcy interesują się ubojami inwentarza, cichaczem puszczono po całej wsi.

Ostrzegając przy tym aby czasami przez pomyłkę jeden drugiego nie wydał, bo mogłaby być z tego nie oczekiwana kara.

Przez pierwsze półrocze, Niemcy jeszcze całych swoich rogów nie pokazali. Obserwowali i badali nas pod każdym względem.

Wieś Smereczne.

Smereczne z początkiem 1940 roku, liczyło 37 domów mieszkalnych (gospodarstw) oraz dwa obiekty publiczne, szkoła i od 1942 roku kasarnia, hotel wojskowy.

Ponad 80% domów, pobudowanych było wzdłuż drogi, która biegła od strony Tylawy do Wilśni.

Wszystkie drewniane, ustawione jak pod sznurek, jeden obok drugiego.

Wioska z trzech stron otoczona była łagodnymi górami, na których były pola uprawne. Najwyższy szczyt góry wynosił 571 m.(n.p.m)

Wzdłuż domów po lewej i prawej stronie rozścielały się łąki i pastwiska, przez środek, których leniwie przepływała rzeczka zwana Smereczanką.

Cały obszar Smerecznego otaczały piękne lasy jodłowo – bukowe, z których wypływały strumyki z czystą pitną zdrową wodą. (ilustruje poniższy rysunek-szkic wykonany z lotu ptaka)

Wieś Smereczne położona było 3 kilometry od głównej międzynarodowej drogi Polska Słowacja, Węgry. Stary znany historyczny szlak węgiersko- polski. Teren pomiędzy Tylawą a Smerecznym po którym biegła

drożka dla pojazdów konnych, był płaski, równinny, nadający się do budowy drogi nawet tranzytowej.

Miejscowość Smereczne granoczyła z najbliższymi wioskami takimi jak: Wilśnia, Ropianka, Mszana, Tylawa, Barwinek. A dalsze to: Olchowiec, Polany, Hyrowa, Trzciana, Zwadka.

Najbliższym miasteczkiem od Smerecznego była Dukla, Zmigród i m. powiatowe Krosno.

Smereczne tylko przez duży las zwany „Błunna i Grencerówka” granoczyło ze Słowacją.

Tabela poniższych nazwisk, przedstawia jednocześnie nazwy domów. (obok nazwisk są przezwiska do poszczególnych domów).

1. Bugiel - Kozak	20. Buriak - Bilica
2. Warcholik - Hanin	21. Bugiel - Kowal
3. Pychać - Łućko	22. Bugiel - Metryka
4. Dupnak - Muryn	24. Seńko - Seńko
5. Kucyrka - Nacin	25. Pychać - P. Parylak
6. Pychać - Mytranyn	26. Hończar- Łański F.
7. Pychać - Pilcin	27. Hończar- Petriw
8. Chudyk - Hrabski	28. Pychać - Parylak A.
9. Chudyk - Brodiw	29. Pychać - Pychać
10. Kucyrka - Kucyrka	30. Hończar- Jacko
11. Buriak - Łyciuś	31. Repak - Repak
12. Kucyrka - Fruzin	32. Buriak - Jurkowy
13. Hończar - Łański	33. Hończar- Fenna
14. Gubik - Gubik	34. Warcholik- Pawło
15. Kaściak - Samul	35. Repak - Repak F.
16. Hończar - Maksim	36. Bugiel - Fennyn M.
17. Chudyk - Fylip	37. Buriak - Buriak M.
18. Kaściak - P. Samul	38. Szkoła
19. Hończar - M. Maksim	39. Kasarnia.

Powyższa tabelka pokazuje, że na 37 domów (gospodarstw), jest tylko 12 nazwisk.

Po zatem godzi się powiedzieć, że w niektórych gospodarstwach zamieszkiwały trzy pokolenia od dziadka do wnuka, jako trzy małżeństwa.

Był to nie tylko problem nowych domów, ale także posiadanie małej ilości ziemi, którą nie sposób było dzielić na mniejsze działeczki.

W takiej sytuacji większą gwarancję godnego życia, zapewniało pozostawanie w trój pokoleniowej wspólnocie.

Ta tradycja przetrwała przez kilka a może nawet przez kilkanaście wieków.

W takiej wspólnocie rodzinnej z szacunku głos decydujący należał do osoby najstarszej.

Małżeństwa w większości kojarzyły się pomiędzy mieszkańcami Smerecznego.

Kochałem moją wieś, miejsce mojego urodzenia. Mam z tego powodu duży zaszczyt i wspaniałe uczucie, że urodziłem się w miejscowości o pięknym krajobrazie, i zdrowym klimacie.

Wiosna 1940 i pierwsi ochotnicy do Niemiec.

Minął marzec 1940 rok. Zaczęły się już wielkie roztopy śniegu. Wysokie ściany po śnieżnych zaspach, zwały się na drogę i utrudniały przejazd.

Żołnierze, ponownie przymuszali ludzi do usuwania z drogi śniegu. Ta praca była po sto kroć trudniejsza niż wcześniejsze odśnieżanie. Ludzie prawie kapali się w roztopach. Przy tradycyjnym kiepskim obuwiu, większość przeziębiła się i zachorowała. Z tej

zimowej udreki tylko deszcz i słońce zdołało nas uwolnić.

Na szczęście zima się skończyła, mieliśmy także za sobą pierwszych 7-em miesięcy przeżytych z okupantem. Najdłużej pozostało nam w pamięci odśnieżanie, które doświadczyliśmy po raz pierwszy.

Zaraz na początku wiosny, zaczęła się agitacja młodzieży do wyjazdu na zarobki do Niemiec.

Agitatorzy w skórzanych kurtkach, obiecywali dla ochotników wysokie zarobki i luksusowe życie.

W umowach gwarantowali wybór miejsca i charakter pracy, urlopy oraz wysoką płacę.

Brakowało dla młodzieży od dziesiątków lat pracy zarobkowej, a także i pieniędzy. Połaskili się na zaproponowane dobre warunki, wierząc w to, że po roku lub dwóch powrócą nabitymi pieniędzmi kieszeniami.

Pierwszymi ochotnikami i odważniakami, okazali się nie tylko chłopaki ale także i dziewczyny.

Byli nimi:

Michał Bugiel (dom.1), Andrzej Pychać (dom 3)

Natalia Hończar (dom 13), Grzegorz Kaściak(dm 15)

Gubik Anna (dom 14), Gubik Teresa (dom 14)

Anna Bugiel (dom 23), Anastazja Bugiel (dom 23)

Michał Seńko (dom 24), Bazyli Pychać (dom 29)

Pierwsze listy jakie od nich dotarły do Smerecznego, było w nich wiele żalu, rozgoryczenia i zawiedzione nadzieje. Niczego z obiecanych dobroci tam nie spotkali.

Wręcz odwrotnie, zawiezieni zostali do baraków przygotowanych dla skazańców, gdzie byli pilnowani przez żandarmów. Przydzielono ich do pracy do fabryk, gdzie produkowali broń, amunicje, części do czołgów, samolotów itp.

Słowem do takich fabryk, które bombardowane były przez Aliantów w pierwszej kolejności. Wynagrodzenie otrzymywali na papierosy i sznurowadła do butów. Żywnościowe racje, to obozowa zupa, która też nie napełniała do końca głodnego żołądka.

Ta propaganda o wysoce cywilizowanej umowie o pracę za granicą, okazała się ohydny podstępem i kłamstwem.

O możliwości powrotu do domu, nie było już żadnych szans. Jakakolwiek próba ucieczki, podciągnięta by została za dezercję. A za to można było trafić do obozu koncentracyjnego.

Pisane przez nich rozpaczliwe listy, były wyraźnym ostrzeżeniem dla tych wszystkich, którzy by próbowali w przyszłości tam wyjechać.

Matki i oni sami mocno opłakiwali bezmyślnie popełnioną pomyłkę. Pomyłkę za którą sami na siebie wydali wyrok, skazując się na kilku letnią obozową niewole.

W taki to sposób Ewa, Marysia i kilka innych dziewcząt straciło swoich chłopaków na zawsze. Do małżeństwa pomiędzy Michałem i Ewą oraz Marysią Michałem już nigdy nie doszło.

Powrócę do ich ostatniego spotkania, przed wyjazdem do Niemiec.

Wieczór jaki ze sobą spędzili był ostatni w ich życiu. Spotkali się u Marysi w domu. Miała swój mały przytulny pokój. Chcieli być ze sobą ostatni wieczór troszkę dłużej.

Tylko tutaj mogli przekazać sobie dozoną wierność i miłość, ustalić sobie plany na przyszłość. Rozmowa jaka między nimi toczyła się przez parę godzin, była wesoła ale często też pojawiały się na policzkach Marysi i Ewy wielkie jak groch łzy.

Zdawały sobie sprawę z tego, że rozstać się muszą może i na długo. Że będą tęsknić i czekać. Że pozostaną same, bez swoich ukochanych chłopców.

Łezki leciały same, nie można było ich ani ukryć ani powstrzymać. Ich związek narzeczeństwa trwał długo, byli do siebie przyzwyczajeni, silnie związani emocjonalnie, dlatego rozstanie musiało być bolesne, raniło serca. No przecież kochali się mocno. Ostatnie miesiące żyli tylko dla siebie.

Decyzja i zgoda na wyjazd podyktowana była chęcią zysku, zdobyciem tak potrzebnego grosza.

Czynili to na wzór swoich ojców, którzy też przed laty wyjeżdżali, aż za wielką wodę. Po kilka razy.

Tutaj w małym pokoiku nie wiedząc o tym, pożegnali obaj Marysię już na zawsze. Idąc w jednym kierunku, odprowadzili do domu Ewę.

Pożegnali ją czule i serdecznie. Ewa nie była w stanie pohamować łez. Trzymając obydwóch za ręce, łkającym głosem wyszeptała, piszcie, nie zapominajcie o nas, kochajcie nas bo my was kochać nie przestaniemy nigdy. W tym momencie żal zacisnął jej gardło, jeden Michał był jej narzeczoną, a drugi

bliskim kuzynem. Rano już odjeżdżali na długo i w nieznanie.

Chwilę jeszcze w tym miejscu postąła, odprowadzając wzrokiem ich cień w ciemnościach nocy. Tyle jej na pamiętkę po nich i po tej pięknej miłości pozostało. (dalszy ich los nastąpi pod koniec)

Po wyjeździe tych dziesięciu, więcej ochotników do wyjazdu na zarobki do Niemiec już nie było.

Wraz z pojawieniem się dłuższych i cieplejszych dni, nad polami radośnie zaśpiewały skowronki. Był to już dobry znak, że nastaje wiosna. Na odkrytych z pod śniegu pagórkach zabieliły się pierwsze stokrotki. Choć jeszcze nie do końca śnieg ustąpił z niższych partii pól, ludzie podjęli już pierwsze prace.

Tu i ówdzie widać było parę koników zaprzęgniętych do pług, które często dużym wysiłkiem przewracały pierwsze skiby. Dla ułatwienia sobie pracy, odwieczną tradycją było, że jeden mężczyzna prowadził pług, a drugi poganiał koniki.

Tym drugim, najczęściej bywali młodzi chłopcy, zaś w skrajnych przypadkach rola ta spadała także na żonę gospodarza.

Mimo tego, że w głębokich potokach, jarach i zimnych lasach, leżała jeszcze warstwa śniegu, to jednak ludzie na polach pracowali już jak mrówki.

Nie wszyscy wiedzą, że góry kryją w sobie dodatkowy urok, że często śniegi giną wraz z ukończeniem wiosennych prac polowych.

Tą pierwszą wiosną, Niemcy interesowali się podwójnie. W pierwszym przypadku podziwiali ten prymitywny sprzęt np. pług z kółkami i dwóch furmanów, a w drugim, że ziemniaki do sadzenia są

przekrawane. Podglądali to wszystko i podziwiali. Pytali wprost czy w ziemi ziemniaki nie zgniją. Odpowiedzi padały zdecydowane, że nie.

Był to już wypróbowany sposób, a wynikało to stąd, że gospodarze posiadali małe zapasy, które trzeba było podzielić i część pozostawić także do jedzenia.

Interesowało ich także i to, czy gospodarze przywiązują do siewu pełną powagę. Czy nie jest to czasami praca pozorowana. Oni na pewno mieli polecenie odgórne, aby te sprawy odpowiednio prześledzić, czy czasami rolnicy nie sabotowali.

Każda wiosna wraz z budzeniem się do życia przyrody, wnosi ona i do naszego życia wiele radości. Tak było i wtedy (w 1940r) ludzie malowali domy, płoty, sprząkali podwórka, gospodynie sadiły kwiaty a młodzież dla ubawu, urządzała różne psoty i kawały. Na prawach pierwszego kwietnia.

Tym razem, na kilku dachach domów, pojawiły się pługi, brony, lekkie drewniane wozy i różny inny sprzęt. A przy naszym domu, przepiłowali kładkę (bałę) przez strumyk.

Przy wiosennych roztopach ciotka Ksenia z samego rana wpadła do wody po sam pas. W momencie przechodzenia kładka przełamała się.

Przez parę godzin, było wesoło i śmiesznie, zanim tego widowiska nie zobaczyli Niemcy.

Żołnierze odczytali to bardzo podejrzliwie, jako sabotaż, jako zamach itp. Próbowali nawet ustalić sprawców tej pseudo dywersyjnej roboty.

Dopiero sołtys sprawę wyjaśnił, że to wiosenne żarty, które mają miejsce każdego roku. Udało mu się tą sytuację odwrócić, dzięki jednemu żołnierzowi, który

pochodził ze Śląska i znał język polski. Kaleczył go mocno, ale on na razie był jedynym tłumaczem między nimi a mieszkańcami wsi.

I nie wiele brakowało, a żart obrócił by się w wielki dramat.

A mimo wszystko młodzież nie była taka miękka i podatna do szybkiej rezygnacji ze swoich przyjemności. W porze nocnej przeprowadzili konie i krowy z jednego końca wsi na drugi.

Rzecz na tyle zabawna, że gospodyni wczesnym rankiem zabierając się do dojenia krów, czy gospodarz do zafutrowania koni, napotykał we własnej oborze obcy inwentarz. Przyczyna była znana.

No wiadomo, że w takim przypadku, trzeba było odszukać we wsi swoje krowy aby je wydoić. Ale tym razem poszukiwanie odbywało się już po cichaczu, aby nie wywołać do akcji Niemców.

Jednak chłopcy i nie tylko oni, ubawu mieli po pas. Jak pamiętam tego rodzaju żarty już w tym roku absolutnie się zakończyły.

Nie podobało się to Niemcom i od tej pory swoje cele realizować zaczęli już na całego.

Nie było już miejsca, na najmniejsze żarty. Oni bardzo ostro i zdecydowanie reagowali na każde wydarzenie, na każdą zauważoną zmianę.

Biorąc pod uwagę tamte wojenne czasy, stosowali oni politykę dyscypliny bezwzględnej, odważnej hitlerowskiej.

Kontyngent rolniczy.

Na pierwszym powiosennym gromadzkim zebraniu sottys ogłosił, że od tej jesieni zaczynają się już pierwsze obowiązkowe odstawy ziemiopłodów dla Niemców zwane kontyngentem. Natomiast odstawa żywca obowiązywać będzie już od zaraz.

I od tego czasu, zaczęły się dla ludności dramatyczne czasy. W kolejnych następnych czterech latach dochodziło do tego, że wiele drobniejszych gospodarstw pozostało tylko przy jednej krowie i nie było z czego zrealizować obowiązkowej odstawy.

Represje okupanta były tak daleko posunięte, że zamian za nie zrealizowaną odstawę zboża lub żywca, wywozili gospodarza na przymusowe roboty w głąb III Rzeszy lub skazywali go do obozu.

Przy realizowaniu kontyngentów w pierwszym roku to jest w 1940, nie było jeszcze najmniejszych kłopotów, gospodarze posiadali pełne obory bydła. I wymiary też były jeszcze nie wysokie, dawało się to jeszcze wszystko pogodzić.

W latach następnych, waga poszczególnych rodzajów kontyngentów stopniowo wzrastała, a stada inwentarza żywego co roku ubywało.

Za realizowane każdego roku obowiązkowe odstawy, zboża, ziemniaków, mięsa, mleka, wełny itp. okupant płacił tylko symbolicznie. Na przykład za 300 kg. zboża, 100 kg. ziemniaków, 150 kg. żywca, kilka kg. wełny i parę set litrów mleka, tato otrzymał pół litra wódki, jedną parę butów na drewnianych spodach (trepów) i 3 kg. marmolady.

To wszystko warte było nie więcej niż 15 kg. mięsa. Takiej wysokości zapłatę mniej więcej otrzymywał każdego roku.

Powyzszy wymiar kontyngentu w przypadku naszego gospodarstwa, stanowił połowę tego, co mogliśmy sprzedać ponad domową potrzebę. Inne gospodarstwa nie miały nadwyżek, a zatem odstawa odbywała się kosztem własnego żołądka.

Przymusowy wywóz młodzieży do Niemiec.

Od jesieni 1940 roku, zaczęło się wywożenie nie zamężnej młodzieży, na przymusowe roboty do Niemiec. Ofiarami pierwszej desperackiej akcji byli:

Ewa Seńko, Andrzej Pychacz, Anastazją Bugiel i Michał Hończar.

W następnym roku wywieziono: Pawła Kaszczaka, Jana Bugła i Łyka Kucyrkę, Bugiel (19 letni chłopiec) imienia nie pamiętam. W kolejnych latach byli następni, którzy kończyli 16 rok życia.

Cwańska młodzież zaczęła się ukrywać, aby uniknąć przymusowego wywiezienia.

Z dobrym skutkiem udawało się ukrywać mojej cioci Ewie Chudyk (dom 8), Janowi Hończar (dom.16) Anastazji Bugiel (dom.22), Janowi Honczar (dom 27) oraz ze zmiennym szczęściem mojemu bratu Janowi Chudykowi (dom 8), ten był dwa razy schwyty i dwa razy udało mu się zbiec z konwojowanego-transportu. (do tego wątku wróć)

Pierwsze nauczanie w czasie okupacji.

Na hazardowe karciorstwo i próżnowanie dzieci w wieku szkolnym, rodzice nasi dłużej patrzeć nie mogli. Poszukiwali dobrego rozwiązania.

Z początkiem stycznia 1941 roku, uwolniła się jedna chata (nr 16), cała rodzina wyjechała do Rosji. Szkolna tablica i ławki czekały w ukryciu. Nauczyciela z wykształceniem podstawowym rodzice szybko

poszukali. Był nim mężczyzna z rodziną, pochodził od Tarnopola o nazwisku Onyszko.

Za żonę miał rodowitą Niemkę. Znała dobrze język ukraiński ale go kaleczyła, tak jak to robi większość. Starszej córce na imię było Anna a młodszej Ola. Ta młodsza razem z nami chodziła do szkoły. Cała rodzina zamieszkała w naszym domu. Oddaliśmy im drugi pokój, nas dziewięć osób zostaliśmy w jednej izbie. Był pochodzenia ukraińskiego, natomiast gimnazjum kończył polskie.

Rozpoczęliśmy naukę od 1 do 4 kl. na dwie zmiany w klasach łączonych 1-2 i 3-4. Lekcje trwały po trzy godziny jednej zmiany i trzy drugiej.

Praktycznie uczył nas matematyki, pisania i czytania po ukraińsku, po niemiecku i po polsku. Jeden raz w tygodniu prowadził ze wszystkimi klasami geografii połączoną z historią przez 2 godz.

Ten pan uczył nas od stycznia 1940 do stycznia 1941 roku. Po tym czasie wyjechał razem z rodziną w nieznaną.

Przyczyn jego wyjazdu nie zapamiętałem. Nie powiem, że żałuję tamtego czasu, bo matematyki na poziomie I, II, i III klasy nauczył mnie dobrze. (miałem wtedy 9 lat). Nauczyłem się dobrze pisać i czytać, ale czytania książek on we mnie nie zaszczepił.

Z tym brakiem obowiązku pozostałem aż do dzisiaj, po prostu sam siebie oszukuję że nie mam czasu. Pasuje mi w tym miejscu takie przysłowie, „czym skorupka za młodu nasiąknie tym na starość pachnie”

Nauczył mnie około 100 słów niemieckich, które pamiętam do dziś. Szczerze jestem mu za to wszystko

wdzięczny, choć nie do końca. Ale jak na tamte ciężkie czasy dobre i to.

Nie mogę się powstrzymać aby tą arcyciekawą edukację nie opisać. Było nas we wsi wszystkich dzieciaków 55 do 60, duża gromadka. Wszyscy od 7 do 14 lat, w wieku szkolnym. W pierwszej klasie byli 7, 8, i 9-cio latki. drugiej 8, 9, 10 i 11 latki. A reszta w trzeciej i w czwartej. Najciekawsze było to, że wielu młodziaków nie wiedziało w jakiej są klasie.

Dziennika szkolnego on nie prowadził. Nazwiska uczniów spisane miał tylko w notesiku. Tematy dla klasy III i IV prowadził wspólne.

Żadnego papierka, że chodziliśmy w tym czasie do szkoły nikomu nie dał.

Dzisiaj oceniam to tak, że rodzicom głównie chodziło o to, żebyśmy chodzili do szkoły i byli pod kontrolą, żeby z tego wynikały dla nas jakieś obowiązki. Po prostu na prowadzenie papierów nie miał funduszy i czasu. Utrzymanie jego rodziny było na głowie całej wsi. On też chyba był z tego zadowolony, taka była zorganizowana kombinacja.

Ale do końca to tak nie było, jak rodzice sobie tego życzyli. Po prostu on nie dawał sobie rady z taką dużą niezorganizowaną liczbą „partyzantów”.

Uczniowie ba „powstańcy „ wciągali go w czasie przerw do różnych zabaw np. do salonowca, do gry w śnieżki do ciągnięcia losów itp.

Ten najstarszy rocznik pozwalał sobie na nim najwięcej w salonowcu, zawsze na pukali mu tyle w tyłek, że nie mógł biedaczek na nim usiedzieć. Przyczyna? Po prostu, chłopaki go oszukiwali, nigdy nie mógł odgadnąć kto go uderzył i mieli z tego niesamowity ubaw. Ale nie honor było mu się z tej zabawy wycofać i kontynuował ją dalej.

Przerwy przez uczniów celowo przedłużane były z pięciu minut do pół godziny. Czas efektywnej nauki całej zmiany trwał 60 do 70 minut, zamiast 135. Efekt tej edukacji był taki, na czym rozpoczęliśmy na tym samym i zakończyliśmy. Warto sobie zadać pytanie i komu zaszkodziliśmy, że sobie uszu odmroziliśmy, Mamie ????. Na pewno nie mamie ale sobie.

Wspominam to z wielkim żalem, że tyle serca ten człowiek nam okazał, a co my jemu w zamian ?

No właśnie takie są rezultaty, kiedy państwo nie chce bądź nie może sprawować właściwego nadzoru nad obowiązkową oświatą.

Akurat w tym przypadku okupantowi nie zależało na wspieraniu oświaty.

Do chałupki, w której uczyliśmy się rodzina powróciła. I w związku z tym miejsca na szkołę nie było. Przerwa dalszego kontynuowania nauki trwała do września 1943, aż do czasu kiedy Niemcy opuścili szkołę.

My ponownie powróciliśmy do gry w karty. Udawało nam się za pośrednictwem stałego niemieckiego woźnicy (furmana), kupować od żołnierzy, za jajka, za kury na mięso, proch z pocisków karabinowych i papierosy. Furmanem był młody 20-sto letni Smereczanin.

Starsi chłopcy zaraz wykombinowali kilka sztuk pistoletów, własnej roboty wykonanych z cienkiej rurki. Pistolet napelniony prochem i zatkany ciasnym drewnianym pociskiem był Odpalany nagrzanym do czerwoności drutem. Siła i hałas wybuchu, odpowiadał ilości decybeli normalnego karabinu.

Młodzież, chłopcy z całej wsi mieli zabawę i rozrywkę a rodzice zmartwienie, bo żołnierze ponownie rozpoczęli ściganie.

Rodzice nasi obok wielkiego zmartwienia w jaki sposób wykonać obowiązkowy kontyngent, aby nam nie zabrakło jedzenia, mieli dodatkowy kłopot z tytułu naszych rozkosznych wybryków.

Sołtys ponownie musiał gasić bardzo niebezpieczne poczynania młodzieży.

Tymczasem z Niemiec przychodziły smutne listy od chłopaków i dziewcząt. Narzekali na brak jedzenia, na to, że muszą długo i ciężko pracować.

Niektórzy szyfrem pisali, że Anglicy i Amerykanie bombardują fabryki i miasta. Szyfrem dlatego, że list z takimi wiadomościami byłyby argumentem do podejmowania poszukiwania osób przekazujących takie wiadomości, za które zostałyby surowo ukarane.

Osoba pisząca list powoływała się na kogoś kto był bądź jest w Ameryce lub w Anglii, np. ciocia, wujek, stryjek i formułowała list o takiej treści:

„Przyleciał do nas wujek Michał i wyspał nam dużo bułek i mówił, że jutro też będzie”.

Z tego zdania odczytywaliśmy, że Amerykanie sypią bomby codziennie.

Były i takie z formułowania „że kolega dostał po głowie „ w tedy było wiadomo, że koledzy zostali ranni bądź zabici.

Takie listy przysparzały nam i rodzicom dużo smutnych refleksji i obaw czy oni przeżyją do końca wojny i czy aby szczęśliwie powrócą.

Pisali również chłopaki do swoich dziewcząt, Michał do Ewy i drugi Michał do Marysi.

Poza kilkoma słowami miłosnymi, większa część listu poświęcona była takim wiadomością jak powyżej o przylatującej ciocie lub wujku z bułkami.

Większość piszących kończyła swoje listy tak: „chyba nas szybko do siebie zabierze Jan Chudyk.”

I to też był sygnał, że mogą tam szybko zginąć podczas angielskich nalotów, bo powoływanie się na Jana to potwierdzało. Wszyscy we wsi wiedzieli, że Jan Chudyk zginął w wypadku w Ameryce. Były to smutne i bolesne wiadomości.

Po każdym otrzymanym liście, spotykały się Marysia z Ewą i płakały z powodu tragicznych wiadomości. Zaczęły wątpić i boleśnie przeżywać czy kiedykolwiek z nimi się spotkają.

W takiej to atmosferze mijały kolejne miesiące i lata naszego życia w okresie hitlerowskiej okupacji.

Wiosną 1941 roku, dało się zauważyć, że żołnierze, jakby mniej podglądali życie ludności cywilnej. Przekonali się, że praca rolnika na tych terenach jest trudna. Przerzucili swoje zainteresowania na patrolowanie granicy. Postanowili pilnować dokładniej swojej służby.

Każdego dnia po dwóch żołnierzy z dużym psem, szli w kierunku granicy. Las przez który przebiegała granica był obszarowo wielki, gęsty i zimny ze starymi stu i dwustu letnimi drzewami. Z resztą tak od wieków był zwany, zimnym lasem.

Może i z tej racji, że mój tato przez dwa lata jeździł z nimi latem wozem a zimą ładną bryczką do Barwinka, do Dukli, do Krosna i wszędzie tam gdzie kazali, a także pożyczali od nas roweru, na Boże

Narodzenie ubrali żołnierze choinkę i przynieśli sami do naszego domu.

Była to pierwsza choinka Bożo Narodzeniowa w naszym domu i w ogóle we wsi.

W naszej tradycji od kilku wieków, na Boże Narodzenie stół i mieszkanie przystrajano sianem i snopkiem zboża.

Choinka przystrojona była nie bogato ale bardzo gustownie. Na czubku była srebrna gwiazda, na gałązkach łańcuchy, papierowe aniołki, ptaki wykonane z wydmuszków jajek, i papierowe zwierzątka. Ze smakołyków: cukierki w różnokolorowych papierkach, włoskie orzechy, ciasteczka, jabłka itp.

Nie rozbieraliśmy ją przez cały miesiąc, dlatego, że oglądać przychodzili ją ludzie z całej wsi i nie tylko, przychodziła także nasza rodzina i znajomi z pobliskich okolicznych wsi. Była to wielka ciekawostka. Najtrudniej utrzymać było na niej cukierki. To wiadomo dlaczego.

Wspólne tańce z żołnierzami niemieckimi.

Młodszy żołnierze z dużą ochotą przychodzili na urządzone przez młodzież wsi potańcówki. Co prawda we wsi pozostali tylko 16 i 15 letnie chłopaki i dziewczyny, z wyjątkiem kilku ukrywających się. Starsza młodzież w liczbie 18-stu osób wywieziona była już na przymusowe roboty do III Rzeszy.

Chętnie włączali się do tańców. Problem był taki, że nasze dziewczyny tańczyły na bosaka a oni w ciężkich wojskowych buciorach.

Było trochę i trudności technicznych. Jakich? Wiadomo.

Po zatem ich walczyk nie zgrywał się taktem z naszym obracaniem. Irytowało ich to. A gorzej bo nie chcieli przepisać się na naszą wiarę i nauczyć się naszych tradycji. Ale to tylko skromna dygresja.

Podglądali nasze tańczące pary i podziwiali je, pozazdrościli, że im to tak cudownie wychodzi. Nasze młode chłopaki i dziewczyny obracali się równusieńko jak wrzeczono. Dawało to smak tańca teatralnego. Zresztą górale huculscy to urodzeni muzykanci i tancerze. Ten muzyczno-taneczny dar, to uroda Karpat i poszczególnych regionów.

Górale Karpacy rodzą się z tymi zdolnościami.

Próbowali i oni, ale ich nogi były za sztywne. Wycofywali się jako pokonani, odczuwali z tego powodu niesmak, że nie mogą skorzystać z tańców.

Hania ich sprzątaczką, do której byli przyzwyczajeni, starała się ich uczyć. Brała za ręce każdego i w tempie wolniutkim obracała nimi starając się dopasować takt tańca do muzyki.

Często dziewczyny cały wieczór poświęciły im nauce tańca. Jednak oni naszego rytmu opanować nie potrafili. Robili to wszyscy po to, aby ich ugłaskać i wydobyć z nich chociaż trochę tolerancji. Ten czas poświęcony nauce okazał się nie zmarnowany. Młodzież i ludność zdobyła u nich źdźbko sympatii i skrawek zaufania.

W tych kontaktach dało się także odczuć, że troszeczkę odstąpili od tej bezwzględnej niemieckiej dyscypliny. Nie byli już tacy surowi dla ludności niż poprzednio.

Dało się również zauważyć, że wtapiali się w problematykę ciężko pracującej ludności wsi.

Chyba dostrzegali ten wielki ciężar, jaki ludność dźwigała z przyczyn kontyngentów i różnych prac dodatkowych wykonywanych na rzecz okupanta.

Wiedzieli także o tym, że kilka osób ukrywa się przed wywiezieniem, ale w to nie ingerowali. Po prostu nie chcieli wchodzić w ostre konflikty z ludnością. Może trochę bali się odwetu? Trudno dzisiaj powiedzieć. A może ten obowiązek do nich nie należał?

Atmosfera na spotkaniach, bywała dziwna, sztywna, wręcz śmieszna. Z jednej strony był lęk, sztuczne nadskakiwanie, z drugiej jakby poczucie winy, poczucie wstydu. Ta druga strona jednak zdawała sobie sprawę z tego, że są tutaj nieproszonymi gośćmi.

Nasza młodzież starała się być otwarta, szczerą i gościnną, nie miała przednimi nic do ukrycia.

Nasze dziewczyny to blondynki z długimi jasnymi warkoczami, pulchne, z sympatyczną urodą.

Podobały im się, tego nie ukrywali. Tańczyły leciutko, równiutko jak artystki.

Żałowali, nie raz, że dla nich jest to owoc zakazany.

Tylko jedyną Hanię mogli odprowadzić do domu bez podejrzeń jako ich pracownicę. Z tego wyjątku, czasami korzystał Franc i odprowadzał ją ale w towarzystwie dwóch kolegów.

W pojedynkę nie wolno im było chodzić po wsi. Z resztą w czasie zimy godziną policyjną była godzina 20. Po tej godzinie na ulicy tylko wartownicy mieli prawo być oraz służba kontrolująca.

Z darzyło się jeden raz, że Franc odprowadził do domu Hanię sam, ale był to pierwszy i ostatni raz, bo po tym incydencie zaraz za karę wysłany został na rosyjski front.

Hania również miała z tego powodu dużo kłopotów, jednak udało się jej wyplatać bo skłamała, że ona uciekała do domu a on ją gonił.

I pomyśleć jakie w tym było przestępstwo? że młody chłopak zakochał się w ładnej dziewczynie.

Hania była nie tylko ładna i zgrabna, ale w swoim zachowaniu miała dużo wdzięku i romantyczności. Lubili ją chłopaki. Czyż jako wolni ludzie tej ziemi, nie mieli prawa do miłości? Wiek XX i wolność? To żalodne. No ale... Tak niestety było.

Taki był urok życia, wolności, romansów w tamtym ponurym i nie tak odległym czasie.

Rok 1942 budowa kasarni.

Po uderzeniu armii niemieckiej na Związek Radziecki w czerwcu 1941 roku i odniesionych sukcesach w bezpośrednich walkach, Niemcy byli już przekonani, że duża część świata należeć będzie do nich.

Podjęli więc decyzje, że budować będą swoje obiekty wojskowe w pasie przy granicznym. Wtedy dowiedzieliśmy się, że w Smerecznym będzie budowana kasarnia. W formie hotelu, z przystosowaniem go do funkcji obronnych.

Nie wiele wiedzieliśmy co to będzie za obiekt . W każdym bądź razie był to dla nas sygnał, że oni pozostaną tutaj na zawsze, że ten obiekt będzie już orężem ich zwycięstwa.

Miejsce na budowę wybrali idealne, po żydowskiej karczynie. Plac równy na końcu wsi.

Sprowadzeni przez nich fachowcy budowlani, wytyczali plac i znaczyli linie pod fundamenty.

Był to czas wczesnej wiosny 1942 roku, zaraz po ustąpieniu śniegów.

Do kopania, wyrównywania placu i wywożenia ziemi, zegnali silną, zdrową i dorosłą ludność wsi. Od tego czasu nie było już wolnego przysłowiowego piątku ani świątku.

Ludzie ze sprzętem, końmi wozami, taczkami, pracowali przez kilkanaście tygodni od wczesnego rana do nocy z małymi przerwami na posiłki.

Był to przymusowy szarwark, od którego usprawiedliwić mogła tylko ciężka choroba lub śmierć.

Oczywiście była to robota bezpłatna narzucona ramach obowiązkowego szarwarku.

Za odmowę uczestniczenia w tych robotach groziła wysoka kara włącznie z wywiezieniem do obozu koncentracyjnego. Nie było w tym czasie odważnego, kto by odmówił wykonywania tej pracy. Z tego okresu zapamiętałem takie zdarzenie,

O kilka tygodni później kiedy wożone były już materiały na budowę, mój tato miał na wozie zboże do siewu i brony, wyjechał z podwórka na drogę jadąc w kierunku pola.

Na drodze zatrzymany został przez dwóch żołnierzy nadzorujących budowę z poleceniem, że ma rozładować wóz i natychmiast jechać do Tylawy po

deski. Tato odpowiedział, że posieje zboże i zaraz pojedzie.

Jeden z żołnierzy złapał go za kołnierz ściągnął z wozu, dostał kilka razy kolbą w plecy i parę kopniaków i tym zakończyło się taty tłumaczenie.

Tato z bólem i płaczem, rozładował przy nich wóz i natychmiast pojechał po deski. Co prawda byli to żołnierze, którzy przysłani zostali wyłącznie do nadzorowania tempa budowy.

Budowa kasarni okazała się wielką udręką nie tylko dla Smereczan, ale także dla mieszkańców Wilśni i pobliskich wiosek.

Po wyrównaniu placu, wykopaniu fundamentów, natychmiast furmankami wożono kamienie, żwir, cement. Cały ten materiał ładowany na wozy i rozładowywany był ręcznie. Była to bardzo ciężka fizyczna robota.

Kamienie na fundamenty, ludzie zbierali po polach do koszyków i wynosili je z pól na furmanki. Furman miał wyznaczony limit dzienny, dlatego w zbieraniu pomagać mu musiała cała rodzina. Zaś kamień na podmurówkę wożono z pod Dukli z kamieniołomów.

Żwir szpadlami wydobywano z dna rzeki w Tylawie, w Trzcianie i transportowano go na plac budowy furmankami. Cała ta robota wykonywana była przez furmanów i ich dzieci.

Jednym słowem cała wieś, kto tylko mógł się poruszać, podporządkowany był tej sprawie.

Dalszą zwózką były deski, drewniane bale, gont, stolarka itd. Całość materiału zwieziona została końmi w ciągu nie całego jednego roku.

Ten ciężki transport mocno odbił się również i na koniach. Koniki wychudły, a ich grzbiety wyglądały jak grabie.

Do budowy obiektu wybrano najlepszych specjalistów budowlanców z okolicznych wsi.

Olchowca, Mszany, Barwinka, Ropianki, Smerecznego i okolic Dukli.

Kierownikiem prowadzącym budowę był inżynier ze Śląska, człowiek polsko języczny. Nazywał się Wieczorek.

Przypominam sobie, że z łatwością ogrywał wszystkich w karty na pieniądze. Miał dobrze opanowane oszustwo. Wywoływał także duchy przy pomocy obracającego się talerza, co wszystkich przerażało, że ma kontakt z drugim poza ziemskim światem.

Wykorzystywał umiejętnie ludzką naiwność. To też jego było wielkim darem.

Bezpośrednio przy budowie kasarni każdego dnia pracowało około 20 robotników fizycznych.

Poznałem niektóre nazwiska i miejscowość. Ze Smerecznego: Kucyrka Bazyli, Pychać Leszek. Hończar W. Seńko Jan,

Ze Mszany: Bidnyk Jan, Petrusik Andrzej. Weselak i Bańkowski D

Z Barwinka: Faber (?) (drug. nazwiska nie ustal.)

Z Olchowca: Buriak J.

Z Ropianki dwóch mężczyzn (nazw. trudno ustalić)

Pozostałych nazwisk nie ma już z kim ustalić. Byli nimi mężczyźni robotnicy z dalekich okolic.

Dwa poniższe zdjęcia pokazują: Na pierwszym zdjęciu znajduje się: budynek kasarni, trzech żołnierzy, część budowniczych, oraz obsługa: kucharki dwie i sprzątaczkii dwie.





Na drugim, na placu kasarni mieszkańcy Smerecznego i kilku budowlańców.

Jedna kucharka była z Wilśni o imieniu Warwara, druga z Tylawy o imieniu Pelagia.

Jak sobie przypominam z opowiadań starszych mężczyzn, termin budowy przebiegał z godnie z harmonogramem. Tutaj przeszkodzić mogła tylko siła wyższa, bo człowiek gdyby próbował byłby postawiony pod mur.

Powyższe zdjęcie pokazuje że, budynek był ogromniasty. Miał powyżej 30 metrów długości i dwanaście metrów szerokości.

Na całej długości podpiwniczony, gdzie znajdowały się pomieszczenia na broń, amunicję, mundury, łaźnia, pralnia i magazyny żywności. Na parterze kuchnia, stolówka, świetlica, biura i pokoje. Na poddaszu jednoosobowe pokoje wyposażone w eleganckie meble.

Na dwóch przeciwległych rogach budynku, były bunkry obronne wyposażone w karabiny maszynowe i szczeliny strzelnicze. Betonowe bunkry zostały tak skonstruowane, że pozwalały prowadzić z nich ostrzał dookoła kasarni.

Architektura, styl zewnętrzny budynku, wewnętrzne rozwiązania i wyposażenie odpowiadały warunkom pięknego górskiego hotelu.

Szpeciły go tylko dwa betonowe bunkry, w budowane w konstrukcje budynku na rogach po przekątnej.

Cały budynek osadzony był na wysokim fundamencie, który wykowany był z lupanych grubych kamieni. Fundament również miał zadanie obronne przeciw uderzeniom pocisków i ognia.

Światło elektryczne kasarnia miała własne, z agregatu, który umieszczony został w piwnicy.

Kasarnia pobudowana była w rekordowym tempie, w ciągu nie całego roku. Miała podkreślać oręż sukcesów odniesionych nad armią radziecką na froncie wschodnim.

A czym była dla nas kasarnia? nie opiszę wszystkiego, ale zamarkuję tylko w skrócie, że dla nas była wielkim i ciężkim wysiłkiem, wymuszonym

wyrzeczeniem się z części osobistego życia, a także nie odżałowaną śmiertelną ofiarą młodego chłopca.

Ciężka praca mieszkańców wykonana na jej rzecz, odbiła się na zdrowiu jednym a drugim pozostała w kościach na kilkadziesiąt lat.
(ciąg dalszy kasarni w Barwinku i Olchwcu str. 105)

Smutny pogrzeb.

Dzień w którym nadeszła smutna chwila rozstania się z nim i pożegnania go na zawsze, był ponury i inny od poprzednich.

Szara, gęsta i mokra mgła, wszystko zasłaniała, nawet te małe przestrzenie między budynkami.

Każde skrzypnięcie drzwi, każda głośniejsza rozmowa, wywoływała na twarzach smutek i wzbudzała podejźliwy lęk.

Nawet i słońce w tym dniu, nie pokazało swojej wschodzącej nad górami tarczy, jakby się zbuntowało, przeciwko niesprawiedliwości.

Wstaliśmy wcześniej niż zawsze, aby wypełnić rytualny obowiązek w gospodarstwie. Ale szara i nasilająca się za oknami mgła, wyraźnie nam tą pracę utrudniała.

Nawet i piesek uwiązany do swoje budy, nie merdał ogonem na powitanie gospodarza jak zawsze, ale stał najeżony i skowyczał. Coś niedobrego przeczuwał.

Obserwował nasze zachowanie i był wyraźnie zaniepokojony próbując wyrazić nam swoje zwierzęce współczucie.

W milczeniu ubieraliśmy się w ciepłe ubrania i wychodziliśmy na drogę. Przed nami i za nami podążały gromadki ludzi w tym samym kierunku.

Tą smutną chwilę, jeszcze bardziej potęgowały przelatujące nad naszymi głowami przeraźliwie kraczące kruki i wrony. Natarczywym chrapiącym głosem, jakby chciały ogłaszać koniec świata.

Było to tak nieprzyjemne i przygnębiające, że aż skóra na ciele drętwiała i włos na głowie się jeżył. Z szarych chałupek pozbawionych sopli lodu i śniegu na słomianych dachach, błyszczały słabe światełka, co jeszcze bardziej podkreślało smutny nie codzienny klimat. Mając świadomość po co i gdzie podążamy, nie tylko płakały nasze smutne oczy, płakały także i nasze serca.

Koło jego domu gdzie leżał w trumnie 18-sto letni chłopak, zgromadziła się już cała wieś. Chwila była szczególnie smutna, bo zmarł na blachą chorobę świadom do ostatniej chwili życia. Mocno cierpiał i błagał o pomoc. Był nim Leszek Pychać. A jak do tej tragicznej śmierci doszło, postaram się czytelnikowi przybliżyć.

Pychacz Leszek, tak się on nazywał, mieszkał i wychowywał się przy rodzicach tuż przy budowanej kasarni po drugiej stronie drogi. W domu było ich trzech chłopaków i najstarsza dziewczyna o imieniu Hanka. On był w rodzeństwie trzecim dzieckiem. Starszy od niego brat Bazyli do Niemiec wyjechał na ochotnika na początku 1940 roku.

Natomiast młodszy od niego Michał, od najmłodszych lat jako samouk nauczył się ładnie grać

na skrzypkach. Do obowiązku Michała należało pasienie bydła i owiec.

W domu żyło im się biednie, ponieważ ziemi przy gospodarstwie było mało.

Jak tylko zapadła decyzja budowy kasarni w Smerecznym, Leszek pracę przy niej rozpoczął jako pierwszy. On już z taśmą biegał przy wytyczaniu fundamentu. Dzięki tej pracy obronił się przed wywiezieniem go do Niemiec.

Był chłopakiem układnym, bezkonfliktowym nigdy nikomu nie wchodził w drogę i stronił od czynienia psot.

Jako blondynek o jasnych włosach, miał wiele cech sympatycznego przystojniaczka, za co lubiły go dziewczyny.

Zapamiętałem go osobiście ze szczegółami, bo w każdą niedzielę do nas przychodził. Kolegował się z moimi starszymi braćmi.

Słyszał między kolegami i sąsiadami z tego, że lubił każdemu przy pracy pomóc. Był chętny i nie czekał aż go o pomoc proszono.

Charakter miał dobry i wrażliwy, dzięki czemu zyskał sobie wiele sympatii i przyjaciół.

Chociaż za Leszkiem wiele dziewcząt się oglądało i okazywało mu wiele przychylności, to jednak upatrzonej dziewczyny on nie miał. Był chłopakiem nie śmiałym i skromnym nigdy nie miał w swoim charakterze aby słabostki dziewcząt wykorzystać. Nie miał w sobie złych i zaborczych intencji.

Leszek na budowie wykonywał najcięższą pracę dlatego, że nie miał żadnego zawodu, żadnej specjalizacji. Pozostało mu pracować szpadlem, łopatą i

taczką. Nie uchylał się i nie stronił od ciężkich prac i nie kombinował.

Nadzorujący robotników Niemcy, mieli do niego zaufanie i dlatego powierzali mu każdego dnia konserwację sprzętu i magazynowanie materiałów.

Z tej racji że blisko mieszkał, przywoływali go po ukończonej pracy do zabezpieczania zwożonych na budowę materiałów.

Inżynier i nadzorujący budowę żołnierze, rozliczali go z materiałów jak magazyniera. Wiedzieli że pracował dobrze i uczciwie, a mimo tego, łitości nad nim nie mieli. Wykorzystywali go do końca jego sił.

Po kilku miesiącach ciężkiej pracy, Leszek zachorował. Bolało go gardło, ale pracy nie przerywał. Nie pozwolili mu chorować, ciągle po niego przychodzili. Z placu budowy nie schodził, owijał szyję szalikiem i pracował dalej.

Potęgująca się zima, mróz, wichury śnieżne, coraz bardziej mu doskwierały. Po czym wystąpiło silne przeziębienie i zaraz wdała się wysoka gorączka, która odebrała mu siłę i powaliła go do łóżka.

Niezbyt dobrze ogrzane mieszkanie, przyczyniło się także do natychmiastowej grypy. Cały ten zespół chorób spowodował ciężki stan jego zdrowia.

Do najbliższego lekarza było 12 kilometrów, który swój gabinet miał w Dukli. W takim ciężkim stanie zawiezienie go saniami do Dukli było już nie możliwe. Jazda w obydwie strony trwała by nawet 6 do 7 godzin, co mogło by mu jeszcze bardziej zaszkodzić.

W tej sytuacji pozostało tylko babskie leczenie i płacz, którego w każdym dniu było aż nadmiar.

Dopóki mógł mówić, najbardziej narzekał na ból gardła, za przyczyną którego tracił z dnia na dzień mowę. Rozpacz rodziny była niesamowita.

Schodziły się do niego kobiety z różnymi ziołami z całej wsi z których robiono okłady i parzonki do picia. Bardzo wszystkie pragnęły mu pomóc, chciały ulżyć mu w jego okrutnych cierpieniach. Nikt nie dopuszczał takich myśli, że są to jego ostatnie dni życia.

Nikt też nie dopatrywał się, że w jego gardle buduje się śmiertelny wrzód.

Pochylona nad nim matka płakała i łkała z żalu, że tak okropnie cierpi, że nie przyjmuje jedzenia i picia. Nieustannie trzymała go za rękę i głaskała po głowie, błagając Pana Boga o pomoc, bo sama wobec tak ciężkiej choroby była bezradna.

Tylko od czasu do czasu otwierał oczy i mętym wzrokiem dziękował jej za czułe serce i troskliwą opiekę.

Trzymała w rękach białą lnianą szmatkę wycierała nią z jego czoła krople potu, a ze swoich policzków nieustannie spadające łzy. Czuła w sercu wielki żal, do świata, do tragicznego losu, do wszystkich, którzy tym światem kierują.

Nie odchodziła od niego ani na chwilę, oparta łokciami o poręcz łóżka, zamykała oczy i błagała na głos Pana Boga o pomoc, o ratunek dla niego.

Tym smutnym przeżyciom nie było końca.

W ciężkich dla niego chwilach, odwiedzali go koledzy, koleżanki, sąsiedzi a także i robotnicy z budowy.

Nie było twardziela, który by nie zapłakał patrząc na jego straszliwą mękę. Wychodzili z domu wszyscy,

z policzkami zalanymi łzami. W przygnębieniu każdy serdecznie współczuł jemu i jego rodzinie.

Na takie wielkie współczucie, on sobie z dużą nawiązką u każdego zarobił.

Kiedy biedaczek całkowicie utracił mowę i wystąpiły trudności z oddychaniem, w tedy padło podejrzenie, że w gardle jest wrzód.

Na natychmiastowy ratunek w tym geograficznym miejscu możliwości już nie było.

Jego życie uratować mógł tylko helikopter i stół operacyjny. Takiego luksusu, w tamtych czasach jeszcze nie było.

Po kilkunastu godzinach Leszek zakończył życie. Udusił go wrzód. A że był to wrzód, potwierdziła to wylewająca się z ust czerwono-żółta ropna wydzielina.

Bohater budowniczy nie dożył końca budowy kasarni, nie on był świadkiem jej wykończenia, ale wykończyła ona jego. Smutny był ten koniec.

W dniu pogrzebu dom oblężony był przez całą wieś. Do nich i ja z rodzicami dołączyliśmy.

Przez otwarte drzwi, dochodził nas głośny płacz matki i pozostałej rodziny. Na podwórku nie było osoby, która by nie ocierała łez.

Niektórzy z nich tak głośno płakali, że aż żal zaciskał gardło. Jedni ludzie wchodzili do mieszkania inni wychodzili. Były to ich ostatnie spojrzenia na nieżyjącego przyjaciela.

Pomimo tego, że ogromnie bałem się zmarłego, do mieszkania wszedłem z mamą.

Pod oknem przy stole, była prosta skromna trumna, zbita z czterech nie pomalowanych desek. Nad nią stała, pochylona do przodu jego matka, trzymała w rękach lnianą serwetkę i co jakiś czas wycierała mu usta, z których coś brązowego wyciekało.

Co chwila dotykała ustami jego czoła i ochryplym głosem, powtarzała: O mój Boże dlaczego nam go zabrałeś. Ten rozpaczliwy głos matki, jego długie jasne włosy uczesane do góry i zamknięte oczy, zapamiętałem do dziś.

Pogrzeb był biedniutki, adekwatny do tamtych czasów, który wiernie odzwierciedlał naszą okupacyjną biedę.

Zapamiętałem i to, że trumnę położono na sanie, przymocowano łańcuchem a cały orszak przechodził obok kasarni. Na ten moment robotnicy samowolnie przerwali pracę, pochylili głęboko głowy w stronę przejeżdżającej trumny i odważnie oddali należną mu szesć.

Po małej chwili, żałobny orszak z trumną na saniach utonął w gęstej mgłę. My wciąż jeszcze staliśmy odwróceny w tamtą stronę. I choć ich cienie zasłoniła mgła, my nadal pozostaliśmy na miejscu jak przymarznięci.

Ten obraz białej mgły i czarnego wychudzonego konia ciągnącego sanie, zapamiętałem na długo.

Powrót do szkoły.

Jeśli dobrze zapamiętałem zaraz po przejściu niemieckich żołnierzy ze szkoły do kasarni szybko nasi rodzice sprząkali i malowali ją. Nawet nie czekając na porządek wakacyjny rozpoczęły się normalne lekcje.

Nauczyciel już był do tej pracy przygotowany. Był nim młody 22 letni mężczyzna z Myzsewoy o imieniu i nazwisku Michał Szkwir. Muszę powiedzieć, że wziął się do roboty ostro i z należytą profesją.

Rocznika, który w tym czasie miał ukończone 13 lat już nie przyjął. Z pozostałej młodzieży, której liczba i tak przekroczyła 40 osób utworzył trzy klasy.

Dyscyplinował wszystkich nieposłusznych bądź leniwych nawet przy pomocy różgi, w tych czasach było mu wolno. Miał na to zgodę i duże poparcie naszych rodziców.

Ja w tym czasie załapałem się do trzeciej klasy, natomiast kilkoro moich rówieśników, rozpoczęli od pierwszej i drugiej klasy.

Bardzo lubiłem się uczyć i mocno przykładałem się do nauki. W Dukli miałem obiecanie przyjęcie do klasy piątej.

W tym czasie mój starszy brat Michał, kończył siódmą klasę w Dukli i sprawę przyjęcia załatwił mi. Warunki ku temu miałem, bo zamieszkać mogłem u dziadka, który pracował we młynie.

Rok szkolny 1943/44 trwał 12 albo 13 miesięcy, bo rodzicom i nauczycielowi chodziło o nadrobienie utraconego czasu. Pamiętam, że ta dzieciarnia od siedmiu do jedenastu lat bardzo polubiła szkołę i nauczyciela, mimo stosowanej przez niego surowej dyscypliny. Natomiast tych starszych ciężko mu było przełamać do nauki nawet przy pomocy rodziców.

Z nich już byli karcjarze, kombinatorzy, cwaniaczki i palacze. To wojenna zawierucha, ohydne czasy okupacji wynaturzały młode pokolenie.

Instynktownie każdy młodziak nastawiony był na obronę, na walkę o przeżycie. Okupant w latach 1943 - 1944 zabierał młodzież już po ukończeniu 15-tego

roku życia do różnych przymusowych prac. Ucieczki i obrona przed wywiezieniem do Niemiec były koniecznością.

We wsi pozostało zaledwie sześć lub siedem osób i to byli ci, którzy się ukrywali, ich wiek od 16 do 19 lat. Latem pracowali bądź pilnowali bydła blisko lasu, albo siedzieli w lesie. Zimą trzymali się bliżej kryjówek, które przygotowane mili na strychu głęboko w sianie lub w słomie.

Ratujcie tradycje !

Puste miejsce po dorosłej kawalerce we wsi, zajęli młodzi chłopcy 14 i 15 letni.

Oni jakby z konieczności przejęli pałeczkę od starszych kolegów, aby kontynuować we wsi piękne wiekowe tradycje.

Z dumą należy pochwalić młodych następców, że poradzili sobie z organizacją i przygotowywali przepyszne wieczorki. Cała impreza polegała na tym, że co wieczór trzeba było urządzać w innym domu.

W związku z tym należało uzgodnić z gospodynią mieszkanie, a potem donieść stołki, ławeczki i światła naftowe itp. To wymagało wiele pomysłów, sprytu, śmiałości i elastycznego podejścia.

Nie każda gospodyni, czy gospodarz wyrażali na to zgodę, ponieważ na drugi dzień trzeba było sprzątać i odnosić pożyczony sprzęt.

Chłopcy tak surowo przestrzegali w tym zakresie ustalone między sobą dyżury, że już wcześniej rano zjawiali się do tych obowiązków.

Po zdobytym zaufaniu u gospodarzy, zdarzało się tak, że następny raz gospodarz sam zapraszał i proponował użyczenie mieszkania.

Od czasu do czasu, chętnie i starsze osoby w tych wieczorkach uczestniczyły. Urządzane tego typu wieczorki miały pożyteczny cel, podwójnego znaczenia.

Po pierwsze, że dziewczyny przędły len, skubały wełnę, robiły na drutach. Dopiero po dwóch lub trzech godzinach pracy, resztę czasu przeznaczali na tańce.

Zaś część chłopców, w tym czasie grała w karty a pozostali pomagali dziewczyną i na przemian.

Pomimo młodego wieku, z czasem dochodziło między nimi do trwałego kojarzenia się par miłosnych. Okazało się, że miłości uczyć ich nie potrzeba było. Sami potrafili przełamać osobistą nieśmiałość i torować sobie drogę do przyszłego związku.

Nawet i rodzice z radością i sympatią te związki akceptowali, w zaciszu serca życzyli im szczęśliwej, radosnej miłości, pozbawionej lęku i niepewności.

Takich młodych i sympatycznych par było wiele, wymieniać z nazwiska ich nie będę, mimo tego, że wiele z nich zapamiętałem.

W okresie zimy na wieczornicach spędzali ze sobą długie przyjemne chwile, szepcząc sobie do ucha miłosne słówka.

Tańcząc nieśmiało przytulali się do siebie, tworzyli w tym czasie przyjemny klimat i wspaniałą zabawę. Po ukończonej zabawie, każdy chłopak jak doświadczony partner, odprowadzał swoją dziewczynę aż na próg domu, na co starsi od nich koledzy w przeszłości zdobyć się nie mogli.

Świadczyło to o tym, że rozumieli doskonale życie i otaczającą ich codzienną sytuację. Po wywiezionej starszej od nich młodzieży, oni byli tym

pierwszym ogniem w łańcuchu do podtrzymania ciągłości rodzin.

To było piękne i zarazem smutne, bo nikt nie był pewny jaki będzie dzień następny i dalsza przyszłość. A jeśli i tych zaczął rozdzielać i wysyłać w wiat?

Latem w 1943 i 1944 młodzież w ciągu dnia nie mogła urządzać już żadnych imprez dlatego, że żandarmeria niemiecka i gminna policja, organizowały na nich łapanki. Natomiast porą zimową spotykali się tylko wieczorami. Dopiero w tych godzinach o zmroku czuli się bezpiecznie, bo policja bała się partyzantów.

I właśnie ta uroczą pragnącą miłości młodzież, w letnie ciepłe wieczory spotykała się ale...?

Spotykała się bardzo często tradycyjnie na sianku, w stodole, na strychu, na kopkach siana w polu itd.

Udało mi się parę razy podsłuchać rozmowę trochę starszego ode mnie brata z jego kolegami na tematy odbywających się romansów. Opowiadali na świeżo, swoje przeżycia, wrażenia, odczucia, nazywając to wszystko po imieniu.

Wynikało z tego bardzo wyraźnie, że większość tych niewinnych dziecinnych romansów sprowadzała się nawet i do seksu. Zaś u niektórych par bardziej dorosłych, nawet do częstego seksu.

Ja w tedy miałem 11 i 12 lat, oni byli starsi ode mnie zaledwie o 3 do 5 lata.

Działo się to poza podejrzeniami rodziców pod bardzo szczelnym płaszczykiem. W tradycji wiejskiej dla wygody i lepszego wypoczynku, a miało to miejsce na wsi od wieków, że młodzież od 10 lat w porze letniej spała na pachnącym sianku na strychu bądź w stodole.

Sen na świeżym powietrzu był zdrowy i przyjemny. Dużo miejsca, nieograniczona przestrzeń, pełna swoboda, stwarzały ku temu dobre i komfortowe warunki do spokojnego wypoczynku.

Było to niemal powszechne. Te miejsca były także zaakceptowane długoletnią tradycją dla spotykania się miłosnych zaawansowanych par. Niby wszystko było „O.K.”.

Jednak trochę wyrwało się to z pod rodzicielskiej kontroli. Byli trochę na to za młodzi.

Kiedy przywołuję wspomnienia z przed 58 lat, nie mogę się nimi nie podzielić z czytelnikiem. Myślę, że po takim czasie nie naruszę za mocno obyczajów.

Otóż zapamiętałem i takie ich wypowiedzi. Cytuję „Jeżeli mnie za rok, lub dwa wywożą do Niemiec i tam ktoś pozbawi mnie wianka (dziewictwa), to ja wolę to dziś zrobić ze swoim ukochanym.” koniec cytatu. Była to konkluzja 16-to letniej dziewczyny. Bo kto w Smerecznym w 1943 roku mógł wiedzieć, że Niemcy tą wojnę przegrają.

Ludzie w swojej wyobraźni bardziej dostrzegali koniec naszego zbiorowego istnienia a niżeli ich przegraną.

No cóż, nie mogę, nie zgodzić się z tą wypowiedzią, bo tak mogło być. Do tego pozostało mi dodać mój krótki komentarz. Że dzisiaj tamte słowa rozumiem zupełnie inaczej. Roztrząsam ten temat i zadaję sobie pytanie czy przerosła dzieciaków wyobraźnia? Czy może poniosła ich fantazja? A może jednak była inna przyczyna?, którą powyżej zamarkowałem.

To jasne, że takie zachowanie młodzieży w tamtych czasach brało się z konkretnej sytuacji, dlatego oni dzisiaj u mnie zasługują na absolutne wybaczenie.

Wybaczam im i to, że ciut, ciut za głęoko tą tradycję próbowali podtrzymywać.

Tym bardziej chcę dodać, że młodzież nie miała do dyspozycji ani świetlicy ani żadnego innego miejsca gdzie mogłaby się zabawić. A po zatem, bała się w ciągu dnia w większych grupach spotykać.

Myszę, że nie trzeba wiele wyjaśniać, że młodzieńcza energia, siła i chęć wyżycia się też ma swój dynamit. A że innych rozrywek nie mieli i nie było szans na inną ich organizację, to wobec tego co w zamian?.....

Miłosne historie, tych młodych dziewcząt i chłopców oraz tamtych poprzednio wywiezionych do Niemiec, zakończyły się smutno. Żadna para po wyzwoleniu nie uwieńczona została związkiem małżeńskim. Do tego nieszczęścia przyczyniła się wojna i straszna bitwa o Smereczne.
(dalsze ich losy, pokaże dalej)

Łapanki.

Opisałem ich parę w mojej książce p.t. „Wspomnienia z życia Smereczan”, ale ominąć ich nie mogę. One w czasie okupacji stanowiły motto wydarzeń skierowanych przeciwko nam. To wyglądało jak polowanie na dzikie zwierzęta.

Łapanki młodych ludzi i wywożenie ich na przymusowe roboty, organizowała niemiecka żandarmeria i specjalne grupy żołnierzy.

Ich początek brał się już od zimy 1942 i trwał do wiosny 1944 roku. Na swoich listach mieli spisana młodzież od 16 lat, oraz mężczyzn nie wywiązujących się z kontyngentów, ludzi kalekich i tych, których podejrzewano o współpracę z partyzantami. (byłych żołnierzy wojska polskiego).

W roku 1944 armia hitlerowska ponosiła już wyraźną klęskę na wszystkich frontach świata: niemieckie fabryki, zakłady zbrojeniowe bombardowane były totalnie.

Cała machina niemiecka, potrzebowała nowych ludzi do ciągłego odbudowywania niszczonej fabryk.

W tym ostatnim 44- tym roku łapali i wywozili kogo tylko udało się złapać, byle by nie był garbatym starcem.

Ostatnią łapankę zimą 1944 r. zapamiętałem dobrze bo już miałem 12 lat. I według mnie była ona najbardziej nie udana.

W dniu w którym ją zorganizowali była gęsta śnieżycą.

W miesiącu lutym widny ranek rozpoczął się po godzinie 8-ej.

Z kierunku Tylawy wybrała się duża grupa żandarmów samochodem i dojechali między dwie góry Kaczurkę i Wapno. Tam musieli samochód pozostawić.

Na szczęście w tej gęstej wirującej zadymce śnieżnej, pobłądzili i poszli do lasu zwanym „Podcyhlami”, minęli o parę set metrów wieś.

Czujne nasze psy na szczęście wytropiły ich i narobiły wielkiego i głośnego hałasu. Wtedy głośny alarm ostrzegawczy przez wieś przebiegł niczym błyskawica.

Tym razem do lasu Niklowec wymiotła cała wieś. Brać męska od lat 14 do 70-ciu, a także żeńska też od 14 do 50 lat. W domach pozostały dzieci, starcy i kobiety w ciąży.

Zanim żandarmi wkroczyli do budynków, najpierw na drodze utworzyli posterunki, aby przeszkodzić ludziom w ucieczce do lasu.

Tego nie spodziewali się, że ludzie do tej pory zdążyli ulokować się już w lesie.

Żandarmi i gestapowcy na prędko zorganizowali około siedem grup po trzech w składzie i rozpoczęły brutalne przetrząsanie dom po domu. Wściekali się jak hieny, kiedy zobaczyli, że w domu są tylko małe dzieciaki i starcy.

Szukali kryjówek w stajniach, oborach na strychach, przebijali bagnetami słomę, siano, przewracali skrzynie itp. Nikogo w całej wsi nie znaleźli. Ze złości powypędzali wszystkich z domu i mówili, że jeżeli mężczyźni natychmiast nie stawiają się tu przed nimi, to będą podpalać domy.

Wyglądaliśmy przez okna z domu do sąsiadów, skąd dochodził do nas głośny krzyk żandarmów i płacz kobiet, dzieci i starców.

Większość małych dzieciaków i stare kobiety, stały w śniegu na bosaka. Żandarmi ciągle pytali, gdzie są mężczyźni.

U nas zjawili się około godziny jedenastej. Poszukiwanie zaczęli od stajni, strychu, spichrza, wozowni itd. Do mieszkania weszli po kilkunastu minutach. Od razu z krzykiem „wo ist der Vater” gdzie jest tato.

Ja ze strachu i konieczności stałem się tłumaczem, od razu odpowiedziałem, „der Vater fohren nach wald arbeiten „ to jest coś w przybliżeniu, że pojechał do lasu pracować.

Jeden z nich złapał mnie za ucho o i kropnie się na mnie darł. Zrozumiałem z tego tylko kilka słówek „Wen ich ihn fange tote ich ihn wie eine schweine „ co by oznaczało, jak złapię zastrzelę jak świnie. Na to nie odpowiadałem, ale ze strachu tylko płakałem. Wtedy wygnali nas z domu na podwórko. Darł się „raus aus das Haus”

Nas przed domem stało, czworo: mama, stara ciotka, moja 9-cio letnia siostra Marysia i ja. Miałem wtedy 12 lat. W mieszkaniu pozostał najmłodszy brat Wiesiek, który w tym czasie miał jeden roczek.

Baliśmy się o niego, że jeśli podpalą dom czy zdążymy go wynieść. Na podwórku słyszałem i rozumiałem z tego kilka słów, jeden z nich darł się że podpalą dom. „gleich brenneich das Haus „.

Przed domem staliśmy ponad godzinę. Mi kazali iść po ojca do lasu, a pozostałych puścili do domu. W tym czasie przypomniałem sobie, szkołę i stwierdziłem, że nauka nie poszła w las. Jednak przydało się zapamiętać tamtych sto słów.

Wydany mi rozkaz zrozumiałem i natychmiast biegłem drogą w górę wsi do lasu. Jednak przy piątej

chałupie zostałem zatrzymany przez strażnika i tam musiałem przy nim stać około dwóch godzin.

Wyzwolił mnie ten, który mnie wysłał, ale najpierw nakrzyczał na tamtego strażnika, a mi kopnął w tyłek i powiedział „verschwinde kleine shweine.”

Oznaczało to uciekaj mała świnię.

W sąsiednich domach starych mężczyzn okładali kolbami i kazali im się ubierać.

Nie mieli litości nad dziećmi stojącymi na bosaka w śniegu.

Po godzinie 13-ej większa ich część przerzuciła się do Wilśni na taką samą akcję. Tam z zaskoczenia kilku mężczyzn dopadli. Byli w różnym wieku od 16 do 60-ciu lat.

Ze Smerecznego zabrali 3-ech starych chłopów pod osiemdziesiątkę. Ale tych w Tylawie na punkcie zbiorczym zwolnili. Do domu stare dziadki powrócili w tym samym dniu po godzinie 21-ej.

Ta łapanka na początku marca 1944 roku, była już ostatnią zorganizowaną przez dużą grupę żołnierzy i żandarmerię.

W tym to czasie zabierali już każdego kto był jeszcze zdolny do pracy. Nie interesowało ich kto kim był, czy dobrym, czy złym gospodarzem.

Zabierali nawet i tych, którzy uprzednio byli zwolnieni od przymusowego wywozu na roboty. Dlatego na ich widok do lasu uciekali już wszyscy.

Niemcy przegrywali wojnę i potrzebowali ludzi do pracy, tylko to było dla nich ważne.

W tym czasie front niemiecko-rosyjski zbliżał się już do granic polskich. Oni zdawali sobie sprawę z tego, że dłużej niż jeden rok w Polsce się nie utrzymają. Dlatego wywozili do Niemiec wszystkich bez jakichkolwiek zahamowań.

Jeszcze przez parę tygodni nękała nas gminna policja. Oni wpadali na rowerach po dwóch lub trzech i buszowali po wsi. Nadal poszukiwali ukrywających się.

Nasz dom napastowali systematycznie, za każdym przyjazdem. Szukali ciotki Ewy i mojego brata Janka.

Nie omijali także domu mojego stryka Grzegorza Chudyka i Mikołaja Bugła, których mieli na swoich listach od trzech lat jako byłych żołnierzy kampanii wrześniowej z 1939 roku. Na tych dwóch asów mieli największą chrapkę.

Ci dwaj byli czujni przez całe pięć lat. (kilka akcji na nich opisałem w mojej książce)

Już od 1943 roku aż do słynnej bitwy o Smereczne we wrześniu 1944 roku żandarmi i wojskowi panicznie bali się partyzantów, których było dużo w każdym lesie.

Dlatego wieczorami i w nocy żadnych akcji nie organizowali. Zaś ci Niemcy, którzy byli w miejscowej kasarni, do niczego się nie angażowali. Prawdopodobnie bali się odwetu miejscowej ludności i partyzantów.

Na kilku mężczyzn mieli podejrzenie, że współpracują z partyzantami. Jednak ten temat świadomie omijali. Na potwierdzenie powyższych przypuszczeń zacytuję dwa przypadki z książki Pana Jarosława Zwolińskiego p.t. „Łemkowie w obronie własnej”

Cytuję „5 kwietnia 1943 roku urządzono zasadzkę pod wsią Smereczne koło Tylawy - na niemiecką straż graniczną. Zdobyto 2 karabiny, mundury z dokumentami, 40 000 zł. i marki, wiezione na wynagrodzenie dla pogranicznej placówki.”

Przyznam, że o tym fakcie dowiedziałem się dopiero z książki.

Cytuję następny fragment „W pobliżu Dalowy rozbrojono trzech Niemców. Na rozdrożu do Dalowy i Tylawy - rozbrojono komendanta policji w Tylawie i ukarano chłostą za nadgorliwe interesowanie się partyzantami. Takie codzienne akcje spowodowały, że przy lasach Niemcy umieszczali tablice ostrzegawcze „Achtung Banditen! „ Przy moście w Tylawie przed rozwidleniem drogi do Mszanej, z zaskoczenia zatrzymano kilka wozów transportujących mundury, broń, amunicję i żywność. Najcenniejsze były 3 cekaemy i motocykl. W Iwli zabrano broń Niemcom, którzy, zbierali tu kontyngent.”
Te akcje organizowali partyzanci z oddziału Borci za swobodu.

Specjalnie wybrałem te drobne akcje, ponieważ miały one miejsce blisko Smerecznego, co podkreślało ich obecność.

W czerwcu 1944 roku doszło do zbrojnego napadu na kasarnię w Smerecznem, gdzie stacjonowała jeszcze niemiecka straż graniczna.

Akcję tą przygotował niewielki oddział AK z okolic Dukli. Bitwa była wielka i trwała przez kilka godzin w porze nocnej. Partyzanci atakowali z nie wielkiego potoczku z broni ręcznej, granatami i koktajlami Mołotowa. Ich najważniejszym celem było spalenie kasarni.

Dostęp do kasarni był trudny, bo ogrodzona była wysokim płotem z kolczastego drutu. Po zatem dookoła kasarni pole było równe i gołe, daleko widoczne. Z dalszej odległości ręczny rzut koktajlem był nie możliwy.

Niemcy bronili się z dwóch betonowych bunkrów wbudowanych w kasarnię, z których ostrzał mogli

przewodzić dookoła obiektu. Ponadto dysponowali mechanicznymi wyrzutniami rakiet oświetlających przedpole, co utrudniało partyzantom zbliżenie się do obiektu.

W tej kilkugodzinnej bitwie ranny został jeden partyzant. Natomiast Niemcy nie odnotowali żadnych strat.

Dla nas mieszkańców bitwa ta była dużym przeżyciem. Pociski karabinowe dziurawiły dachy jak sito. W tym czasie wiele dzieciaków spało na sianie pod dachem i mogły być trafione. Po zatem groziło to zapaleniem się słomianego dachu od pocisków zapalających, z obydwu stron których sypało się wiele.

Pamiętam, że nas sprowadzono ze strychu do mieszkania i wszyscy w czasie tej strzelaniny leżeliśmy na ziemi.

Po dwóch miesiącach, kucharki ujawniły parę szczegółów z tej akcji. Było to mniej więcej tak:

Atak na kasarnię dla nich był wielkim zaskoczeniem. Wszyscy w tym czasie porozbierani byli do koszuli, niektórzy leżeli na łózkach. Zaś wartownik w tym czasie był w środku budynku.

Jeden żołnierz nie uzbrojony znajdował się poza ogrodzeniem na polu.

W tym czasie oddział partyzantów mógł bez wystrzału pomaszerować do środka kasarni.

Po pierwszym ataku partyzantów, Niemcy w panice biegli na bosaka do bunkrów i przez chwilę nie mogli zorganizować obrony.

Komendant wskakując do bunkru potknął się i wypadł mu z ręki pistolet, który wystrzelił i zranił kucharkę w nogę biegnącą za nim.

Z dolnych do walki było zaledwie kilku żołnierzy, którzy biegali od jednego do drugiego stanowiska i pozorowali, że walczą ich dużo.

Ten żołnierz, który znajdował się poza ogrodzeniem, podczałgał się do kanału i tam przesiedział aż do rana. Tyle wiadomości od strony kuchni, które poznałem przed paru dniami.

Gestapo z Krosna przez kilkanaście dni prowadziło ostre śledztwo. Jego skutki były bardzo bolesne dla wszystkich mieszkańców Smerecznego.

Dezercja Michała i Grzegorza.

Oni obydwaj wyjechali do Niemiec dobrowolnie na początku 1940 roku, zwabieni podstępem na wysokie zarobki. Oni to znaczy Michał Bugiel i Grzegorz Kaściak. Pierwsze dwa listy z przykrymi wiadomościami były od nich.

Obaj wyjechali razem i obaj pracowali przez 3-y lata w fabryce broni i amunicji. Mieszkali razem w barakach z Francuzami, Chorwatami, Słowakami, Ukraińcami i Polakami.

Fabryka w czasie ich pobytu, była kilkanaście razy bombardowana. Za każdym razem uciekali do podziemnych bunkrów. Po ostatnim nalocie samolotów angielskich, fabryka łącznie z barakami zniszczona została całkowicie. W tym bombardowaniu zginęło też dużo robotników i uzbrojonego dozoru.

Z tego dużego zamieszania skorzystali i zbiegli na wieś. Pracę podjęli u „baora.”

Tutaj pracowało im się spokojnie, a że pracę na roli dobrze znali, stary „baor” był dla nich wyjątkowo

dobry. Sytuację spokojnej pracy i dostatek jedzenia poprawili sobie nie do porównania w stosunku do poprzedniego miejsca.

Pod koniec maja 1944 roku, tuż przed zmrokiem Michał i Grzegorz przyjechali na urlop. Na drugi dzień wieczorem obaj przyszli do nas.

Mój tato był dla Michała wujkiem. Mama postawiła na stół talerz z masłem, bochenek chleba, drugi talerz z owczą brynzą i dzbanek z mlekiem.

Ich ciekawych opowiadań co tam robili, co tam przeżyli, jak byli traktowani, słuchaliśmy do pół nocy. Pamiętam, że rano mama i tato nakazali nam nie mówić nikomu, że oni u nas byli.

W tym czasie partyzantów w lesie było tak dużo, że niemiecka straż graniczna, (żołnierze) po wsi już się nie szwędali.

Oni obaj też w ciągu dnia nie wystawiali się na zewnątrz domu. O ich przyjeździe na urlop nie wiele ludzi wiedziało. Z resztą solidarność utrzymania wszelkiej tajemnicy we wsi była tak wielka, że nie było obawy iż ktoś zdradzi.

Michał i Grzegorz pozostali w Smerecznem aż do wyzwolenia, z tego urlopu do Niemiec już nie powrócili. Za to bardzo często obaj w lesie zbierali grzyby. Dzisiaj w to nie wątpię, że była to dezercja.

Michał Bugiel powrócił do Marysi Chudyk, którą kochał i tak mocno za nią przez 4-y lata tęsknił.

Zbiegł narażając dla niej życie, aby ponownie mogli być ze sobą. Aby połączyć się z nią na zawsze. Od tej chwili spotykali się codziennie. Tak bardzo się kochali, tyle razy przyrzekali sobie, miłość, wierność, Michał taką desperacką ucieczkę wybrać musiał.

Marysia bardzo często w dzień przychodziła do jego domu, spotykali się też często w lesie na

grzybach. Byli już bardzo szczęśliwi. Od wymarzonego ślubu dzielił ich tylko jeden krok.

Ale ten krok był bardzo długi, ze względu na ostrożność jaką musieli zachować, i wojnę - front, który zbliżał się do nas milowymi krokami.

Nie było innej możliwości jak tylko cierpliwie czekać na lepsze czasy. I taką nadzieją oboje żyli.

Nadszedł czas zbierania żniw, (rok 1944) wszyscy, którzy się ukrywali powychodzili z kryjówek i jawnie pomagali rodzinie w polu. Nikogo już się nie bali. Zbliżała się wolność, która nadchodziła razem frontem. Armia Czerwona walczyła już na terenach Polski.

Mój brat Janek też wyszedł z dna sąsiedku, w którym leżał przez trzy lata. Był wychudzony, błydy, czasami przez cały tydzień słońca nie widział.

Michał z Marysią uśmiechnięci i uradowani jawnie prowadzali się pod rękę po wsi. Na taki szczęśliwy dzień czekali cztery lata. I dał Bóg, że się doczekali. Jednym słowem we wsi zapanowała już radość. Gospodarze z wielkim entuzjazmem przystąpili do żniwowania. Byli już pewni, że tymi zbiorami nie będą się musieli dzielić z okupantem.

Ostatnią niespodziankę jaką utrzymywano w tajemnicy, przed mieszkańcami, ujawnili nasi Niemieccy strażnicy z kasarni w konkretnym dniu sierpnia. Tajemnicę swojego wyjazdu strzegli przed partyzantką.

Otóż zażyczyli sobie aby ich odwieźć furmankami aż do Nowego Sącza.

Gmina przysłała policję, która wybrała we wsi najlepszych pięć par koni i pięć wozów, które

podstawiono pod kasarnię. Niemcy załadowali swoje walizki na furmanki, u gospodarzy wybrali najładniejszych kilka sztuk jałówek i pięciu furmanów i pod eskortą gminnej policji odjechali w kierunku Tylawy.

Nam zabrali dwa konie, jałówkę a na furmana wyznaczyli brata Janka, który przed czterema tygodniami wyszedł z kryjówki.

W Tylawie zorganizowali długi tabor składający się z pięciu placówek, t.j. z Olchowca, Smerecznego, Krępanej i Jaślisk.

W liczbie około 50 uzbrojonych żołnierzy pojechali w kierunku Żmigrodu, a dalej do Nowego Sącza. Aby im przeszkodzić ludzie próbowali nawiązać kontakt z partyzantami, żeby to odbić, ale w tym czasie partyzantka przegrupowała się w stronę Słowacji.

Furmanom, chłopcom ze Smerecznego w Nowym Sączu powiedziano, że końmi pojadą aż do Niemiec. Pewnej nocy chłopcy zorganizowali się i zbiegli do lasu i po paru dniach powrócili do domu.

Jak daleko nasze koniki pojechały w kierunku Niemiec tego nie dowiedzieliśmy się już nigdy.

Front Armii Radzieckiej zbliżał się do Krosna. Walki między dwoma armiami świata były bardzo zacięte. Po obu stronach ginęło mnóstwo żołnierzy.

Do Tylawy, Trzciany, Barwinka, Zydranowy, Mszany, Smerecznego, Wilśni, Olchowca Armia Radziecka przedzierała się od Rymanowej przez Zawadkę, Dalowę itd.

Zanim front dotarł do Smerecznego, przeżyliśmy wiele ciekawych niespodzianek, smutnych, gorzkich i takich, które mroziły krew w żyłach. Np.

Dwukrotnie na polach Smerecznego wylądowali w nocy rosyjscy spadochroniarze, którzy poszukiwani byli przez Gestapo SS w naszych domach. Przeżycia były straszne, gdyby cokolwiek po nich znaleźli, wielu ludzi cywilnych skazanych zostałoby na karę śmierci.

W potoku tuż obok naszych domów, zastrzelony został żołnierz, który służył w armii niemieckiej, z pochodzenia Jugosłowianin. Gestapo SS prowadzili przez parę dni wnikliwe śledztwo, baliśmy się aby winnego nie poszukiwali wśród nas. Wtedy zginęłoby kilkanaście ludzi.

Po jednej i po drugiej stronie granicy słowackiej, rozwiązane zostały zprzymierzone z Niemcami dywizje słowackie, co doprowadziło do napiętej sytuacji wojskowej. Dywizje niemieckie, które zajęły po nich nasze tereny, były dla nas bardzo nie przyjazne wręcz surowe.

Na dwa tygodnie przed frontem na polach Wilśni i Olchowca, rozegrała się wielka bitwa pomiędzy wojskami niemieckimi a radzieckimi. Zginęło po obu stronach mnóstwo żołnierzy, z czego po radzieckiej więcej dlatego, że wpadli w zasadzkę.

Na polach Smerecznego, Wilśni, Olchowca itd. trzecia niemiecka linia frontu, przygotowywała silną obronę i przeciw uderzenie na Armię Radziecką.

Wszystkich zdolnych do pracy ludzi zagnali do kopania okopów od rana do nocy.

To tylko kilka przykładów, z tej jakże niebezpiecznej wojennej zawieruchy, gdzie każdego dnia mogło zginąć wiele cywilnych ludzi. (więcej szczegółów na ten temat jest w mojej książce p.t. „Wspomnienia z życia Smereczan koło Dukli”)

Bitwa o Smereczne.

Kiedy Rosjanie pierwszy raz zaatakowali od strony Tylawy i z góry Wapno od strony Mszany, była to godzina 6-ta rano w niedzielę.

Jeśli dobrze pamiętam, była to pierwsza niedziela po 20-tym września 1944 roku.

Najpierw pod górą Wapno i Kaczurką zobaczyliśmy pierwsze radzieckie czołgi, a za kilka minut, niesamowicie silne uderzenie artyleryjskie, które po kilku godzinach nieustannego walenia, zamieniło wieś w górę ognia a ogrody, sady i pola w okropne cmentarzysko.

Z Mszany, Tylawy, Zawadki i Trziany bezpośredni ogień artyleryjski na raz prowadziło kilkadziesiąt dział i katusz, nieustannie przez kilka godzin. Skutki tego uderzenia były mniej więcej takie: po dwóch godzinach paliła się połowa wsi, po trzech lub czterech godzinach zginęło 8-em cywilnych osób, a po całym dniu, wybity został do nogi, cały gospodarski inwentarz żywy.

Gdyby ludność cywilna w przeddzień t.j. w sobotę i wcześniej rano w niedzielę nie wyprowadziła się do lasu Niklowiec, skutek dwugodzinnej rannej

ofensywy mógł by pochłonąć od 100 do 150 zabitych cywilów.

W pierwszym dniu ofensywy w pobliskim potoczku w przygotowanych schronach do wieczora przesiedziało tylko 7 rodzin, po czym pod osłoną nocy do rana, wszyscy wyprowadzili się do lasu.

Mój tato i dwaj starsi bracia przy pomocy patrolu rosyjskiego, opracowali plan przedostania się na drugą linię frontu do wojsk radzieckich.

Było groźnie, ale o 6-ej rano byliśmy w Trzebianie, 5-ć kilometrów za linią frontu.

Reszta Smereczan przez kilka dni uciekała przed pociskami w lesie Niklowiec, po czym musieli i to miejsce opuścić.

Bardzo dokładnie bitwę o Smereczne opisałem w wyżej wspomnianej mojej książce na 45 stronach.

I właśnie po dwutygodniowych walkach w Smerecznym pozostał tylko jeden podziurawiony jak sito dom, kikuty z pięknych drzew i kilkaset ludzkich ciał.

Po trzecim dniu walki, w środę przed świtem, o godz. 4-ej zginął mój kuzyn Michał Bugiel. Pierwszy dezertjer, który uciekł z niemieckiej niewoli prawie że bohater. Ten który na taką chwilę uwolnienia się z niemieckiego lagru, czekał 4-ry lata.

Dzięki męskiej odwadze, tego szczęścia doczekał i powrócił do rodziny, powrócił do ukochanej Marysi. Ich marzenia o ślubie, o połączeniu się ponownie odżyły. Teraz już tylko zależało chwili spokoju i od nich. Oni oboje ślubne obrączki nosili już w garści. I gdyby nie fakt ohydnej wojny, mogliby już jutro klęczyć na ślubnym kobiercu.

A tak, śmierć okazała się szybsza od ich zamiarów, od pragnień, od ich marzeń.

Popatrzmy jak do tego nieszczęścia doszło. Jego ojciec Teodor i stryjek Paweł tworzyli dwie oddzielne rodziny. Mieszkali razem w pierwszym domu od strony Tylawy.

Ich dom narażony był na pierwsze frontowe uderzenie. Dlatego niemieccy żołnierze na godzinę przed radziecką ofensywą, kazali im w ciągu 5-iu minut opuścić mieszkanie.

Zdążyli zabrać ze sobą trochę jedzenia i do rąk na zapas cieplejszą odzież.

Nie czekając na następne upomnienie, pobiegli w stronę potoku i dalej w kierunku lasu Niklowiec, do którego mieli troszkę więcej niż jeden kilometr.

Tam napotkali już siedzących w wawozach ponad połowę mieszkańców Smerecznego. Dołączyli do nich i powiedzieli, że Niemcy z wycelowanym i karabinami w stronę Tylawy czekają już na Ruskich.

W tym momencie rodzinę Teodora stanowiła żona, syn Michał i córki Teresa i Natalia, natomiast Pawła również żona, syn Leszek, córka Ola i najmłodszy 3-y letni Mikołaj. Razem było ich 10 osób.

Oni również dwukrotnie w Niklowcu, próbowali bez powodzenia przedzierać się za rosyjską linię frontu.

Dopiero w środę o świcie, wykorzystując małą nieuwagę Niemców, przeszli na kolanach ich linię i dalej potokiem podążali w stronę Rosjan.

Było jeszcze szaro, przy potoczku pojawiła się lekka mgła, widoczność przed sobą mieli zaledwie na kilkanaście kroków. Spieszyli się aby jak najszybciej i

jak najdalej pozostawić za plecami Niemców. Bo w tym momencie uważali, że tylko oni im zagrażają.

Nie mieli najmniejszego rozeznania, w którym miejscu znajdują się pozycje okopów wojsk rosyjskich. Na myśli mieli tylko jedno, aby jak najprędzej dobiec do Ruskich.

Niemal każdą przeszkodę w potoku znali na pamięć dlatego mgła nie stanowiła dla nich trudności. Aby czas ich przeskoku trwał jak najkrócej, Michał na plecach niósł 3-y letniego Mikołaja a Leszek 7-mio letnią Natalkę.

Mijali połowę wsi, tymczasem Niemcy pozostali pod lasem około 800 metrów od tego miejsca. Michał w swoich marzeniach widział już wolność i najbliższe radosne spotkanie z Marysią.

Przy ostatnim rozstaniu się z nią przed 5-ciomą dniami, przyrzekali sobie, że zaraz po wyzwoleniu pójdą nawet pieszo do ślubu, choćby nawet tylko oboje, byleby ten cel jak najprędzej osiągnąć. Tak długo w rozłące na siebie czekali.

Dlatego Michał biegł pierwszy nie bacząc na wodę, przeszkody, pragnął tej oczekiwanej wolności już od tej chwili. Za swoimi plecami pozostawił wszystkich 10 do 15-stu kroków

I nagle posypała się na niego seria z ruskiej „pepeszki.”

„Pepeszki”, która aż z pod Moskwy niosła dla niego wolność.

Michał upadł twarzą do potoku a z nim razem i mały Mikołaj.

Zginęli obaj od tych samych pocisków. Do nich dobiegli rodzice i pozostali, próbowali ich podnieść i ratować. Mały jeszcze zapłakał, zawołał mamó, boli mnie. A ten drugi leżał już bezwładnie.

Po chwili leniwie otworzył oczy i wyrzekł ostatnie w swoim życiu słowa. „, Mnie tutaj zostawcie, ratujcie jego i siebie.”

On nawet nie wiedział kto pozbawił go życia. Pochyleni nad nim rodzice i rodzeństwo plakali. Z zrozpaczonych i zmęczonych piersi matki wydobywał się cichy głos, „, synku uciekłeś z niewoli po to, żeby zginąć? Boże, dlaczego spotkał nas taki tragiczny los.”

Do zrozpaczonej rodziny zszedł oficer i żołnierz, który pocisnął za spust. Był nim 19-to letni chłopiec, dopiero pięcioletni żołnierz.

Przeprosili rodzinę za tragiczną pomyłkę. Młody żołnierz z wielką skruczą tłumaczył, że myślał iż w jego stronę biegnie niemiecki żołnierz z plecakiem na plecach.

Nie żyjącego Michała pomogli przenieść około 400 metrów za wojskowe okopy i tam naprzeciw jego spalonego domu został pochowany. Mały Mikołaj jeszcze oddychał, ponieśli go na rękach jeszcze około jednego kilometra. Kiedy na rękach jego główka opadła, zatrzymali się i też pochowali go w szczerym polu.

Marysia jego narzeczona, która z rodzicami uciekła przed frontem na Słowację i w niewiedzy nadal marzyła o ślubie, dowiedziała się o śmierci Michała dopiero po pięciu miesiącach, po wyzwoleniu Słowacji.

Po powrocie do Tylawy, bo tam zamieszkali przez kilka dni. Poszła z rodzicami na jego mogiłę, która przysypana była grubą warstwą śniegu.

Pożegnała go modlitwą, a na śniegu własną ręką wyryla krzyż i zrozpaczona powróciła do domu. Po

kilkunastu dniach z braku mieszkania i jedzenia wyjechała wraz z rodziną do Rosji.

Smereczne, o które bój trwał przez dwa tygodnie, zniszczone zostało łącznie z całą jego piękną przyrodą. Po wojnie już nigdy nikt tam nie zamieszkał.

Wszystkie zakochane pary, które w swoich marzeniach planowały wspólną przyszłość, nigdy się nie połączyły.

Trzech młodych chłopaków, zginęło w pierwszym dniu radzieckiej ofensywy, na Smereczne byli nimi: Kucyrka Władek, Honeczar Jan, Repak Michał, byli w wieku 16 do 19 lat.

Wiele z tych dziewcząt i chłopców, których wspominałem w części „ratujcie tradycje” wyjechało do Rosji i mieszkali od siebie setki kilometrów.

Nigdy się nie spotkali. Część z tych, którzy byli na przymusowych robotach w Niemczech, nie wracali do Smerecznego, pojechali po wojnie prosto do Ameryki, Kanady i Australii.

Michał powrócił, do Mszany przez Jugosławię. Zbiegł z kolegami po zbombardowaniu fabryki, w której pracował.

Spotkali się oboje z Ewą po wojnie, byli już oboje zamężni.

Kiedy odtwarzam wspomnienia z tamtych odległych lat, w mgłę widzę ich wszystkich, w Smerecznym, zakochanych, rozmarzonych, szczęśliwych, widzę także kwitnące na miedzach i pod lasem czereśnie i białe kwiaty tarniny, a także błyszczące nad potokiem srebrne liście wierzby. Wybaczcie mi to już chyba tylko sny, a może marzenia?

Moja rodzina i ja w czasie okupacji.

Latem 1939 roku, w domu mojego taty było nas sporo. Wymienię wszystkich z imienia: tato Bazyli, mama Anastazja, ciotka taty Ksenia, siostra taty Maria, druga siostra Ewa, nas pięcioro, zacznę od najstarszego brata: Jan, Michał, Teodor, Aleksander czyli (ja) i siostra Marysia. W niedzielę często było nas o dwie osoby więcej t.j. o babcię Marię i dziadka Bazylego. (najmłodszy brat Wiesiek urodził się w 1943 roku.) Dziadek z babcią mieszkali w Dukli we młynie, tam pracował dziadek.

W niedzielę pierogi robiły trzy kobiety, a gotowane były w dwóch garnkach. Farsz do pierogów przeważnie przygotowany był z sera i ziemniaków. Jesienią mama często robiła pierogi ze śliwkami (węgierki) lub z czarną jarzyną. Nie zawsze do tych owoców był cukier, po prostu nie było go a szczególnie w czasie okupacji.

A mimo wszystko kiedy przypominam sobie ich smak, leci mi na nich jeszcze dzisiaj ślinka.

Z tamtego gorącego lata, zapamiętałem ślub i wesele mojej ciotki Marii. Za mąż wychodziła do Hyrowy. Było to wesele widziane moimi oczami pierwsze i ostatnie aż do roku 1946.

Pomimo, że miałem wtedy zaledwie 6 lat, to muszę określić to tak, że byłem nim zauroczony.

Zauroczony dlatego, że po raz pierwszy widziałem tańczących i śpiewających moich dziadków, rodziców, ciotce, stryjów, bliskich sąsiadów, jednym słowem całą wieś i nie tylko naszą.

Było to dla mnie tak wielkie, szczęśliwe i wesołe widowisko, jakiego w życiu już nigdy więcej razy nie widziałem.

Następne wesele w naszej rodzinie, było po wojnie w 1947 roku, z udziałem małej grupki ludzi, bez rodziny, z małą orkiestrą, bez śpiewającego tłumu sąsiadów itd. itd. Żenił się mój najstarszy brat Janek z Ulą Hruby ze Mszany. Ona w 1945 roku powróciła z Niemiec z przymusowych prac.

Gdybym chciał te dwa widowiska ze sobą porównać, to z 1939 i to z 1947 roku, wyobraźnię mniej więcej można sprowadzić do tego, że w pierwszym przypadku oglądamy w kolorach Wiedeńską śpiewającą, roztańczoną wielką operę, a w drugim przenosimy się do skromnej świetlicy i oglądamy wiejskie przedstawienie.

Decydując się na plastyczną wyobraźnię, czulem potrzebę ujawnienia skutków barbażyńskiej wojny, która zniweczyła całe ludzkie historyczne piękno.

Wracając do zasadniczego wątku okupacja, poczynając od mojego ojca, pierwsza porażka jaka go spotkała, to odebranie mu dubeltówki.

Był to dla niego straszliwy cios, na co dzień nie rozstawał się z nią, czyścił i pielęgnował ją w każdą wolną chwilę.

W okresie późnej jesieni i zimą na polowanie wychodził dwa razy dziennie. Rano i wieczorem.

Wynikało z niego wiele korzyści, wypoczynek, relaks, przyjemność i trochę ekologicznej dziczyny.

Drugą dolegliwością dla niego było służenie okupantowi. Tego obowiązku nie mógł z cierpieć. Przez dwa lata musiał być do dyspozycji łącznie z parą koników na ich służbowe i prywatne wyjazdy

dwa lub trzy razy w tygodniu. Jednego razu przydarzył się ojcu bardzo groźny wypadek.

Pojechał do Krosna saniami z chorym żołnierzem w asyście drugiego wojskowego. Przy szpitalu tato i ten drugi, odprowadzali pod rękę chorego do obiektu.

Przejeżdżający obok koników samochód, złośliwie użył sygnału. Młode koniki, spłoszyły się urwały lejce i pognaly ulicami krosna. W czasie tej dzikiej ucieczki sanie potrafiły kilka osób, jedna z nich w stanie ciężkim trafiła do szpitala.

Zaś konie z ciężkich ran na nogach i piersiach, tato leczył przez kilka miesięcy.

Po zatem tato mocno za to od Niemców oberwał.

Wręcz wielkim problemem w prowadzeniu gospodarstwa i zapewnieniu nam codziennego życia były kontyngenty w postaci: zboża, ziemniaków, mięsa, mleka, jaj i wełny. To była nieprzeciętna grabież gospodarstwa, która doprowadzała do całkowitego jego upadku. Ba, zdarzało się i tak, że trzeba było i rodzinie lub sąsiadowi w tym obowiązku pomóc, aby nie został zabrany do obozu koncentracyjnego.

Dalej to szarwarki związane z budową kasarni, pobicie go za upieranie się, ucieczki w czasie prowadzonych przez żandarmerię łapanek itd.

Ukrywanie i przewożenie w różne miejsca trzy osobową rodzinę żydowską.

Do bardzo odważnej i wręcz dywersyjnej roboty do jakiej tato zbierał mężczyzn we wsi, to jest wydobywanie ropy naftowej z szybu..

Na taką akcję wybierało się 5-iu mężczyzn, parę koni, wóz i dwie 200-stu litrowe beczki.

Dwóch stało na warcie, pozostali pompowali ropę do beczek.(dwa lub trzy szyby były na polu w Smerecznym)

Ten produkt tato destylował w lesie na ognisku i otrzymywał z niego ponad 220 l. nafty, 100 l. benzyny, reszta to olej i mazidło. Spróbujmy sobie wyobrazić, gdyby Niemcy przy takiej robocie ich napotkali. Tą naftą świeciło jedna trzecia wsi.

Pod koniec wojny za udzielanie pomocy dla partyzantów radzieckich mógł być rozstrzelany.

To nie wszystkie fakty, bo nie sposób wszystkiego zapamiętać i opisać.

Mój dziadek też Bazyli mieszkał w Dukli. Przed wojną pracował w spółce żydowskiej we młynie, otrzymując za to wynagrodzenie oraz otrzymał od spółki notarialny papier, który określał jego współudział w jakiejś małej części młyna.

Za czasów okupacji, pozostał tam i pracował za bardzo symboliczne wynagrodzenie, po prostu jako przymusowy robotnik.

Ze względu na pacyfikację Żydów i konfiskowanie im mienia, dziadek współudział utracił.

Przez okres trzech lat, dziadek i babcia mieli na utrzymaniu troje Żydów. Jeden z mieszkańców Dukli dobry kolega dziadka, dał im schronienie, natomiast dziadek z babcją nosili im jedzenie.

Za taki czyn wszyscy otrzymaliby jednakową karę śmierci.

Pamiętamy wszyscy, bądź wiemy z historycznych pamiętników, że wiele ludzi w czasie okupacji cierpiało głód z przyczyn różnych. Dziadek i babcia wynosili ukradkiem z młyna mąkę, otręby i wkładali do umówionych kryjówek. Pomagali w ten sposób kilku rodzinom przeżyć ciężkie czasy.

Kombinowanie to odbywało się z zapasów niemieckich. Kara za taki proceder była bardzo wysoka. Z tytułu urządzanych różnych groźnych akcji przez

okupanta, dziadek z babcją wiele nocy nie przespałi, spodziewając się wpadki.

W takiej sytuacji, każdy kto sprzeniewierzał się okupantowi, z góry wiedział jaka spotka go kara.

Ciocia Ewa mieszkała razem z nami do połowy 1941 roku. Ona jako 19-sto letnia dziewczyna była na liście do wywozu na przymusowe roboty do Niemiec od początku lat czterdziestych.

Przez jeden rok ukrywała się na strychu w słomie. Sposób ukrywania się na początku okupacji wyglądał mniej więcej tak. W ciągu dnia przebywała w mieszkaniu z tym, że ciągle czuwaliśmy nad tym, czy ktoś nie znany nam, zbliża się do domu. Wtedy wybiegała do swojej kryjówki.

Natomiast całą noc spała w kryjówce. Naloty na nasz dom, gminna policja urządziła kilka razy, na szczęście każdy z nich na czas był wykryty.

Kryjówka przygotowana była na strychu pod grubą warstwą słomy. Był to schron, do którego wchodziła z obory przez otwieraną kłapę w suficie. Jego wielkość to 2 metry kwadratowe i 80 centymetrów wysoki. Wygodnie mogło spać dwie osoby.

Sufit tego schronu wykonany był z dużej lnianej plachty, po to, aby nie był wyczuwalny kluciem bagnetu.

W latach następnych przeniosła się do zamężnej siostry Marii Czupińskiej, która mieszkała na górze w Hyrowie nie dostępczej dla policji.

Na tamtej górze w lasach urzędowała liczna partyzantka, której policja bała się. Nie było to łatwe, bo od czasu do czasu, przedostawali się tam przebierańcy bądź konfidenci, którzy również potrafili stamtąd doprowadzić osobę do odpowiedniego punktu.

Mój brat Janek w 1942 roku ukończył 16 lat i od momentu otrzymania karty na wyjazd, zaczął się ukrywać. Czas jego ciernistej drogi trwał równie 2-3 lata. Jego kryjówki to las i kopki z siana w okresie lata. Zimą trochę siedział w domu, przy naszym ostrym dyżurowaniu a spał na przemian w skrzyni pod jednometrową przyłmą zboża lub nad stajnią w kryjówce po cioci Ewie.

Jego dwuletnie ukrywanie najbardziej dotknęło. Dwa razy został złapany w domu przez policję gminną. Jeden raz przy posiłku, drugi raz przy goleniu. Za każdym razem był w domu sam.

Policjanci przyjeżdżali rowerami prosto na nasz dom i go okrażali. Janek miał pecha i padał ofiarą. Zakuwali go od razu w kajdanki i prowadzili na posterunek, a potem odwozili go z większą grupą za druty do punktów zbiorczych. Tam pilnowani byli przez strażników, czekali na zbiorowy transport do Niemiec.

Jankowi udało się uciec trzy razy. Pierwszy raz zbiegł kiedy dużą ich grupę prowadzili pieszo przez las do pociągu Ucieczkę dokonali w lesie.

Drugi raz, z baraków zza wysokiego ogrodzenia. Strażnicy prowadzili ich na kolację, kilkunastu z dużej grupy rzuciło się na płot, część z nich została ranna i spadła z płotu z powrotem, część zbiegła.

Trzeci raz kiedy odwoził Niemców naszymi końmi do Starego Sącza. Jeden z żołnierzy starszy wiekiem powyżej 50-ątki, powiedział mojemu bratu Jankowi takie słowa: „ Teraz ja ciebie osobiście przypilnuję, że zawieszysz mnie aż na moje podwórko,

nie uciekniesz mi gagatku.” Nazywał się on Sztala i pochodził ze Sudetów. Były to słowa siarczastej zemsty.

Kilku odważnych i mocnych chłopaków przygotowali się i unieszkodliwili 2-uch wartowników i tym razem uciekła ich duża grupa. W akcji brało udział około 20-stu sprytnych i zahartowanych chłopaków. Do domu wracali odważnie lasami, bo w tym czasie w lesie urzędowali tylko partyzanci.

Odtworzę przebieg jednej ucieczki. Akcja miała miejsce blisko Krakowa. Żandarmi na kilku akcjach nałapali około sześćdziesiąt mężczyzn i kobiet. Trzymali ich przez kilka dni w budynku ogrodzonym wysokim płotem z kołczastego drutu. Po obiedzie, prowadzili ich około 10 kilometrów do pociągu w jednej dużej grupie.

W czasie marszu pilnowało ich 6-iu żandarmów. Jednak cwańsi chłopcy porozumieli się, że w dogodnym miejscu na hasło dokonają ucieczki.

I takim miejscem był las i niewysoka skarpa. Na hasło „hura „, co najmniej jedna trzecia odważnych susem rzuciła się w las. Za nimi zaczęła się ostra strzelanina, byli i ranni, ale nikogo nie zdołali zawrócić.

Janek do domu miał około 50 kilometrów idąc na przełaj lasami. W jednym kierunku w stronę Dukli szło ich 6-iu. Do domu bez żadnego posiłku szedł dwa dni. Ich pokarmem, była leśna źródłana woda. Było już po żniwach 1943 roku.

Wczesnym rankiem czekał na mnie, w gęstej leszczynie na naszym polu, a konkretnie na Żbyriu.

Na tym pastwisku ja każdego ranka pasłem dwie krowy prowadząc je na łańcuchach. Kiedy usłyszałem jego głos, zdrętwiałem z wrażenia, z radości, z

ciekawości. W pierwszej chwili nie dowierzałem, że to może być prawdą, że ja słyszę jego głos. Obejrzałem się, on rozchylił gałęzie i zobaczyłem go stojącego 10 kroków ode mnie.

Poplakalem się, a z radości trzęsły mi się usta, ręce, nogi, trzęsłem się cały. To było radosne, szalone, cudowne i niezemskie przeżycie.

Wskoczyłem od razu w jego objęcia. Po chwili oddałem mu swój chleb i pobiegłem do domu po mamę. Z mamą przynieśliśmy więcej jedzenia, ciepłe odzienie i w tych krzakach pozostał aż do wieczora.

Mama pozostała z nim w tych leszczynach przez parę godzin, słuchając jego relacji.

Opowiadał, że najpierw przez kilka dni siedział w Dukli w areszcie, bili i pytali mnie gdzie się ukrywają młode osoby ze Smerecznego i wymieniali nazwiska, między nimi pytali o ciocię Ewę i stryjka Grzegorza, Janka Honeczara, Janka Bugla itd.

Ten ostatni uczęszczał do szkoły w Dukli, o czym policja nie wiedziała. Brat odpowiedział, że Bugiel w tym roku wyjechał sam do Niemiec. Píše stamtąd do domu listy. Pracuje w fabryce już 4-y miesiące. Niemcy na te numery dawali się nabierać. (listy pisał kto inny, a adres zwrotny podawał na osobę, która tego potrzebowała).

Potem czterech odwieziono nas do Jasła, a stamtąd mnie i 5-iu innych zaliczanych do groźnych, samochodem z dwoma strażnikami, powieźli w nieznaną pod Kraków za kolczaste druty. Zaś duża grupa z Jasła odjechała na Kraków pociągiem.

Janek jako dwukrotny dezertor i osoba ukrywająca się, ze wszystkich Smereczan najwięcej ucierpiał. Nieodżałowany brat Śp. Janek zmarł w szpitalu w Goleniowie mając 46 lat.

Życie biedaczek miało krótkie, ale historię smutną i długą. Najboleśniej było to, że po wojnie też milicja ludowa go biła, chyba tylko dlatego, że żywego można bić, bo umarłego już nikt nie bije. Innych przyczyn nie było.

Brat Michał od 1942 roku, kiedy miał 14 lat zamieszkał w Dukli u dziadka i stamtąd uczęszczał do gimnazjum do 1944 roku. Jego te wszystkie bolesne przeżycia ominęły. Nie znaczy to, że nie musiał się ukrywać.

Również parę razy szukali go we młynie ci granatowi z Tylawy.

Jak sobie przypominam, zawsze kiedy przyjeżdżał na niedzielę do domu, przychodzili do niego sąsiedzi z prośbą aby pisał listy do Niemiec do dzieci. Wręcz czekali na niego.

Jedną z niespodzianek jaką przysporzył rodzicom tuż na parę dni przed frontem to:

Poszedł z bliskim kuzynem (Michałem Bugłem z tym co zginął przedzierając się przez front) na okopy opuszczone przez dywizję słowackie o nich wspominałem. Dzisiaj tą ich bezmyślność mogę określić tak, wydali na siebie wyrok sami.

Gdyby ich tam spotkali Niemcy, rozstrzelaliby ich na miejscu. Z tej wycieczki powrócili dopiero po dwóch dniach, mimo tego, że Smerecznego do okopów było zaledwie 4 kilometry. Ukrywali się przed Niemcami w lesie.

Na ten czas, wojskiem niemieckim, cały nasz teren już był naszpilkowany. Front był już koło Krosna.

W czasie pierwszej radzieckiej ofensywy na Smereczne, Michał był tylko centymetry od śmierci. O tym dużo napisałem w mojej poprzedniej książce.

Michał i Ewa jego żona mają czterech synów, wszyscy obecnie są w Kanadzie.

Brat Teodor.

W momencie kiedy Niemcy przekroczyli granice Polski, Teodorowi zbliżał się 10 rok życia.

Kiedy Smereczne zostało wyzwolone on już miał ukończone 14 lat. Bardzo dużo ciężaru związanego z pracą na gospodarstwie spadło na niego.

Cały główny filar pracujący w polu ukrywał się, to znaczy ciocia Ewa i bracia, Janek i Michał.

Główną rolą w gospodarstwie Teodora, było pasienie inwentarza. A obok tego zajęcia, Teodor pomagał ojcu wozić na budowę kasarni kamienie, żwir, deski i bale drewniane itd., nie pomijając prac przy zbiorze siana i zbóż.

W czasie ostatniej akcji „łapanka” jaką Niemcy urządzili pod koniec marca 1944 roku, tato uciekł ze wszystkimi do lasu., natomiast Teodor w pozycji kłęzącej pod pomostem stajni, w kale gęsim i kaczym, przesiedział 7 godzin.

Temperatura otoczenia na zewnątrz wynosiła +2 stopnie C. Gdyby się w tej akcji nie ukrył na pewno by go zabrali. Niemcy byli wściekli, bo nie mieli kogo zabrać.

Kiedy mama poszła po niego i z tamtąd go wydobyła, on już zeszywniał. Nie mógł stanąć prosto na nogi i poruszać nogami. Złapała go za pod pachę i wciągnęła go do domu.

Szybko zdjęła z niego mokre ubranie i całym wysiłkiem nas troje rozeieraliśmy mu skórę na nogach i rękach. Dopiero po godzinie czasu zaczął poruszać nogami. Na około 10 dni przed nadejściem frontu, każdego dnia zabierali go do kopania okopów dla obrony niemieckiej.

Na rękach miał białe wypukłe pęcherze. Z bólu płakał ale kopać musiał, Niemcy od roboty zwolnić nikogo nie chcieli. Litości też nie mieli.

Siostra Marysia, brat Wiesiek i ja. Moja trójka w czasie okupacji była najmłodsza. We wrześniu 1939 roku ja miałem ukończone 7-em lat, Marysia 5, a Wiesiek urodził się w 1943 roku.

Nas wojna i czasy okupacji pozbawiły całego dzieciństwa w szerokim znaczeniu. Poczynając od letnich zbiorowych wakacji, edukacji oświatowej, prawdziwej rodzicielskiej miłości, czulej opieki, a nawet smaku młodzieńczych marzeń.

Nie wspominając już o tym, że nie mieliśmy najmniejszych możliwości rozkoszowania się słodyczami w postaci: cukierków, czekolady, słodkich kruchych ciastek, pomarańczy, bananów itd.

Z tych wymienionych łakoci aż w latach 1950-tych miałem możliwość ich zakosztowania, kiedy miałem 18 lat.

Akurat my troje zabawek kupionych nie mieliśmy. Mając 6, 7, 8-em lat strugałem sam patyczki i coś tam kombinowałem. Natomiast z dużego ziemniaka, buraka wydłubywałem: lalki, babe jage, konika, pieska, krówkę itd. To był nasz cały arsenał zabawkowy, innymi słowy świat bajek i dziecińczych marzeń.

Było dla nas wielką przyjemnością, kiedy przyjeżdżali z Dukli, babcia lub dziadek albo stryjek

Teodor z Olchowca i dali nam po małej kostce białego cukru. Był to w tym czasie wielki rarytas.

A powiem, że czarną zbożową kawę mama słodziła sacharyną, jeśli była.

Za to ja od 7-miu lat, musiałem paść krowy rano i po obiedzie, a w przerwie obiadowej gęsi. Musiałem bo starsi bracia się ukrywali.

Do moich i siostry Marysi obowiązków należało też bawienie i wychowywanie najmłodszego brata Wieśka, poczynając od karmienia, ubierania i usypiania, noszenia na rękach itd. Pamiętam, że zamiast cukierka, wsypywaliśmy do szmatki trochę cukru i wkładaliśmy mu do buzi. Bardzo się tym rarytaseм cieszył.

Włączano nas do najtrudniejszych obowiązków domowych w gospodarstwie na równi z dorosłymi.

Z czasów okupacji zapamiętałem dwa dla mnie nieprzyjemne zdarzenia.

W tym pierwszym zostałem podprowadzony przez starszych kolegów.

Niemcy ze straży granicznej w pierwszym lasku nad wsią Smereczne w Kamieniku, mieli urządzony przystanek z zielonych jodłowych gałęzi.

W środku ławeczka i dwa grube pnie na których stawiali i pili piwo.

Było to przy ścieżce licznie uczęszczanej z Wilśni do Tylawy. W tym miejscu często kontrolowali pieszych przechodniów z ciekawości co ludzie przy sobie noszą. (Ala punkt kontrolny).

Chłopcy podpuścili mnie, że w środku w szalasiе są duże niedopalki cygaro i od papierosów.

I diabeł mnie tam poniósł. Szybko pobiegłem i od razu na śmiałego, wszedłem do środka. Na moje nieszczęście siedziało ich tam dwóch, z odkrytymi głowami odpoczywali.

Ze strachu zbladłem a nogi wrosły mi do ziemi. No i zaczęło się od „kom, kom.”

Najpierw sprawdzili mi kieszenie co przy sobie mam, coś pytali, a potem na mnie się bardzo darli. Na końcu położyli mnie na pieńku i dostałem trzy mocne kiję. Siną pupę miałem prze kilka miesięcy.

Kiedy mnie puścili i od nich wydarłem, ze strachu pomyliłem kierunki. Zamiast uciekać do domu, ja uciekałem w przeciwnym kierunku do Wilśni.

Drugi raz wybrałem się do cioci Czupińskiej na góry do Hyrowy. Za Mszaną w pierwszym zagajniku na szlaku pieszym ze Smerecznego do Dukli, siedziało dwóch wojskowych Niemców.

Zatrzymali mnie, zrewidowali i trzymali mnie przy sobie przez kilka godzin.

Ze sobą mieli dużego czarnego psa. Tych dwóch wojskowych ja nigdy nie widziałem. Obydwaj mieli karabiny maszynowe i na piersiach lornetki, przez które co chwila obserwowali cały teren.

W tym zagajniku siedzieli aż do zachodu słońca. Wracając do Tylawy, mnie zaprowadzili do soltysa we Mszanie. Soltys poszukał kogoś, kto trochę umiał po niemiecku i wypytali mnie skąd jestem i dokąd szedłem.

Dalej wyjaśniałem, że ciągle u ciotki bawię małe dziecko. Pytali też, czy są tam „banditen.”

Przez ciemny las przy dużym zmroku, sam wracałem do domu.

Następny raz do cioci do Hyrowy szedłem drogą a nie polnymi ścieżkami.

Taki mniej więcej nasze dzieciństwo miało urok w czasie okupacji.

Dzisiaj w 2002 roku, w mojej rodzinie umarli już w takiej kolejności: Brat Janek w 1972 roku mając

46 lat, mama w 1990 r. w wieku 87 lat, tato w 1989 w wieku 94 lata, brat Wiesiek w 1999 r. w wieku 57 lat i brat Teodor w 2002 r. mając nie całe 72 lata.

Bardzo lubiłem ciocię Marię Czupińską i dwóch stryjków Grzegorza i Teodora.

Ciocia Maria z mężem Janem Czupińskim w czasie okupacji pobudowali się na wysokiej górze nad Duklą i Cergową. Przez trzy lata w krótkich terminach pomagałem im bawić dzieci i paść krowy.

Była to moja symboliczna pomoc, ale dla nich dwoje w tamtych warunkach wszystko miało bezcenną wartość.

Przed frontem na kilka dni, ciocia Maria, ciocia Ewa, Babcia z Dukli, przyjechały do nas, że w Smerecznem będzie łatwiej przeżyć front.

Tymczasem stało się absolutnie odwrotnie. W Smerecznem, w Wilśni, w Ropiance, w Olchowcu trwała największa bitwa.

Stryjek Grzegorz z rodziną, babcia Maria, ciocie Ewa i Maria z dzieciakiem, ponad 12 dni uciekali i chronili się przed pociskami.

Ciocia Maria zaraz na początku została ranna w nogę. W gąszczu spadających pocisków, Ewa z Grzegorzem cały czas ją nosili.

Z odłamkiem w kolanie leżała w łóżku 3-y miesiące. Do końca życia nogę, w kolanie miała sztywną.

Stryjek Grzegorz, przez cały okres okupacji, uciekał przed Niemcami, przed policją i przed gestapo SS. Na niego, jako na żołnierza kampanii wrześniowej z 1939 roku, Niemcy urządzali kilka razy oblężenie. Pamiętam, że kilka razy w polu porzucał konia

zaprzęgniętego do wozu bądź do pluga, a sam uciekał przed nimi do lasu. Nie dał się złapać i przetrwał do końca wojny.

Mam go cały czas za wielkiego bohatera.

Najlżej prześliznął się przez okres okupacji stryjek Teodor. On mieszkał w Olchowcu. Po prostu nie był fizycznie maltretowany przez okupanta.

Powiedzmy tak, był urodzony w czepku i miał duże szczęście, dlatego nie poniósł fizycznie żadnych dotkliwych strat. Moralne tak i to wiele.

Na dzisiaj z nich już nikt nie żyje. Odeszli z tego świata w różnym wieku. Najmłodziej umarła Ewa mając 42 lata i stryjek Teodor 66 lat.

Po stryжку Grzegorzu jest liczna rodzina, córki, wnuki i prawnuki. Mieszkają w Karpatach koło Żmigroda w Pielgrzymce, w Szczecinie, w Nowogardzie i w okolicy Nowogardu.

Po stryжку Teodorze, mieszkają w Toronto-Kanada, w Szczecinie, w Karpatach koło Iwonicza i w Olchowcu.

Najliczniejsze potomstwo jest po cioci Marii (Chudyk) Czupińskiej i obecnie zamieszkują: We Wrocławiu, w Szczecinie, w Dobrej Nowogardzkiej, w Karpatach koło Dukli, w Hyrowie i w Krakowie.

Po cioci Ewie zamieszkują: W Ameryce w Nowym Jorku, na Śląsku w Lubiniu i koło Lubinia w Niemstowie.

Liczna rodzina po moim ojcu- dzieci, wnuki, prawnuki zamieszkują: W Kanadzie, w Nowogardzie, w Krośnie i w Karpatach w Tylawie koło Dukli.

Zasługują na przypomnienie.

Smereczanie moi sąsiedzi, których ja zapamiętałem i tak uważam, że najbardziej swoją aktywnością przyczynili się do rozwoju wsi, jej kultury i jej zamożności byli nimi: Bugiel Teodor i Paweł, Kucyrka Bazyli, Pychacz Jan, Chudyk Bazyli i Grzegorz, Kucyrka Bazyli, Hończar Jan, Gubik Bazyli, Chudyk Filip, Bugiel Bazyli, Seńko Bazyli, Pychać Andrzej, Repak Michał, Buriak Mikołaj.

Ten ostatni był filarem od strony intelektualnej i cywilizacyjnej. To jedyny mieszkaniec, który posiadał ponad powszechnie wykształcenie i pracował w gminie, zajmując stanowisko urzędnika gminy.

On pisał dla wszystkich mieszkańców wsi pisma, podania, odwołania, skargi itd. Mikołaj Buriak po przejściu na emeryturę, ze stanowiska głównego księgowego, napisał jedyną pamiątkę o Smerecznym, z czasów pierwszej wojny światowej, którą wykorzystałem do mojej książki.

Należałoby wymienić nazwiskami, tych mężczyzn, którzy współpracowali z partyzantami w roku 1943 i 44, ale znam tylko dwa nazwiska, a było takich 5 albo 6-ciu, nie chcę zrobić pomyłki, bo tutaj ci wykazali największą odwagę.

Duży wkład w pomnożenie Smerecznego wnieśli także wszyscy ci, którzy byli na zarobkach za Oceanem i za przywiezione pieniądze pobudowali chałupy i podnieśli na lepszy poziom gospodarstwa i osobiste życie mieszkańców.

W naszym kraju, w przed I-szą wojną światową, jak i w czasie międzywojennym, wieśniakowi prace zarobkową trudno było znaleźć.

Dlatego mężczyźni i nie tylko, wyjeżdżali na zarobek do Ameryki, Brazylii, Argentyny, Francji itd.

Źródeł do pozyskania skromnych pieniędzy, było nie wiele, wymienię je:

Sprzedaż drzewa z własnego lasu, dłużycy budowlanej i na opał, które trzeba było wieźć powyżej 30-tu kilometrów.

Sprzedaż wyrobów rzemiosła drewnianego, kamiennego oraz wypalanego z gliny.

Sprzedaż nadwyżki płodów rolnych i produktów pochodzenia zwierzęcego, w postaci; sera, masła, śmietany, żywej rogacizny ewentualnie zboże.

Te produkty w niewielkich ilościach można było zbyć jedynie na targowiskach. Pozyskane z tej sprzedaży pieniądze były w symbolicznej wielkości.

Dlatego wyjazdy za Ocean były jedynym poważnym źródłem zarobkowania. Na nie wybierali się tylko zdrowi, silni i odważni.

Kasarnia w Olchowcu.

Do wzbogacenia tematu o kasarnie dokładają się: moja stryjeczna siostra Anna Dziadosz – Chudyk po Grzegorzcu oraz jej mąż Eugeniusz Dziadosz z Pielgrzymki. Doręczyli mi wywiad z osobą, która uczestniczyła przy budowie kasarni w Olchowcu, jest nią Stefan Buriak liczący sobie 77 lat.

Urodził się w Olchowcu 1925 roku, w rodzinie posiadającej niewielkie gospodarstwo rolne.

Do szkoły powszechnej uczęszczałem do 14 roku życia w Olchowcu i zgodnie z ówczesnym prawem oświatowym ukończyłem 4 klasy. Wieś Olchowiec liczyła w 1939 roku, 195 numerów.

Pamiętam, że jeszcze przed wojną w naszej wsi urzędowała straż graniczna. Dwóch strażników mieszkało w naszym domu, jeden u sąsiadów a reszta w starej żydowskiej karczmie.

Było ich zaledwie kilku. Ich zadaniem było pilnowanie granicy na niewielkim odcinku.

Wozilem ich furmanką lub saniami do Dukli i do Krosna. Był to dla nas jedyny zarobek. Za taki wyjazd otrzymywałem od 6 do 9 złotych.

Dużo rodzin z Olchowca miało rodzinne powiązania z pobliskimi wioskami na Słowacji.

Udzielali chętnie mieszkańcom Olchowca na kontakty z rodakami żyjącymi po tamtej stronie granicy w obydwie strony.

Po wkroczeniu Niemców do Polski w 1939 roku od strony Barwinka, po trzech czterech dniach kilkunastu chłopców i ja z nimi, poszliśmy pieszo do Tylawy po prostu chcieliśmy ich zobaczyć.

W Tylawie na podwórkach stały ich ciężkie wojskowe wozy, motocykle, były też i samochody.

W każdym bądź razie było ich tam dużo.

W Olchowcu jako patrol na koniach, pojawili się dopiero po dłuższym czasie. Gdzieś około miesiąca a może i później, utworzyli w Olchowcu, posterunek graniczny. Na swoją kwaterę zajęli naszą szkołę. Obok szkoły u gospodarza Skorodyńskiego mieli stołówkę, w której pracowało dwie kucharki, jedna z Olchowca, druga z Polan.

Tych żołnierzy straży granicznej było od 12 do 15 różnie w zależności od pory roku. Na drugi dzień

po sprowadzeniu się, przed soltysem wsi postawili obowiązek, że ich placówka ma być każdą noc pilnowana przez 6-ciu cywilnych mężczyzn.

Wzwiązku z tym ma wyznaczać trzy grupy po dwóch mężczyzn, z których każda ma stać od zmroku aż do rana w określonym miejscu.

Hasłem alarmu, w razie pojawienia się osób podejrzanych, należało rzucić kamieniem do okna placówki. Ten obowiązek trwał ponad 4 lata.

Wiosną 1941 albo 1942 roku rozpoczęli budowę kasarni. Do jej budowy w ramach obowiązkowego szarwarku, zaangażowali całą wieś, niemal wszystkich zdolnych do pracy powyżej 14 lat.

Na plac pod kasarnię wybrano, ziemię żydowską, na której stała pochylona karczma pamiętająca czasy, nie żyjącego nam jaśnie pana Cesarza Franciszka.

Prawdopodobnie ostatnim właścicielem tej ziemi był ksiądz greko katolicki.

Był to najrówniejszy i najdostępniejszy kawałek ziemi w Olchowcu, zaraz obok gospodarstwa Teodora Chudyka. Teodor był moim stryjcem. Na tym równym placu, miał dom, łąkę i pastwisko.

Robota jak na wielki alarm rozpoczęła się od wykopów na fundamenty i piwnice. Od wczesnego ranka do późnego wieczora, dzwoniły szpadle, łopaty, kilofy i skrzypiały wozy pod ciężarem wywożone ziemi.

Nieustannie omijało się dziesiątki furmanek ze wsi Olchowiec i Ropianki. Nie pozwolono nawet na małe przerwy na papierosa. W jedną stronę wywożono ziemię, z powrotem przywożono kamienie i żwir aby uniknąć pustych przejazdów.

Oszukać się nie dało bo każdy wozak miał wyznaczony dzienny limit. Kto miał słabsze konie, musiał wstać wcześniej i często kończył już po zachodzie słońca.

Kamienie na fundamenty zwoziliśmy z własnych pól, a żwir wydobywaliśmy z dna rzeki.

Natomiast po bale budowlane, deski, cement i kostki kamienia, jeździliśmy do Dukli. Za pracę fizyczną i transport nikt nam nie płacił, mówi Buriak.

Od wiosny do jesieni budynek wyciągnięto łącznie z umocowaniem krokwi pod dach.

Budową kierował człowiek z zewnątrz, nie znaleźmy go. Robotnicy budowlani, specjaliści od poszczególnych rodzajów robót byli sprowadzeni z lwli, Jasła i Krosna. Zaś pomoc przy budowie obstawiona była z miejscowych.

Czas budowy wyłączając zimową przerwę trwał nie cały rok. Kasarnia pobudowana była na wysokiej podmurówce z kostki kamienia, wyrabianej koło Dukli na Foluszu.

W kamieniołomach na Foluszu przez dwa lata pracowali Żydzi z Dukli.

Ściany pierwszej kondygnacji nad piwnicą aż pod dach, budowano z impregnowanych drewnianych grubych bali. Cały dach o bardzo wielkiej powierzchni, pokryty był gontem z drewna.

Na dwóch przeciwległych rogach, wbudowane w ściany były bunkry z grubego kamienia.

Bunkry na różnych poziomach, miały otwory strzelnicze ze stanowiskami na karabiny maszynowe.

Na pierwszym poziomie była wielka świetlica, kuchnia i stołówka, punkt sanitarny, biuro oraz pokoje gościnne. W sumie na parterze i na poddaszu było około 20-cia pojedynczych pokoi.

Budynek wyglądem zewnętrznym, rozwiązaniami wewnętrznymi i wyposażeniem, był klasą równy hotelowi. Jego powierzchnia użytkowa bez piwnic, mogła mieć około 700 metr. kwadr.

Po oddaniu kasarni do użytku, Niemcy nam wieśniakom odpocząć nie dali.

Sołtys otrzymał z gminy nowe dla wsi zadanie.

Wzwiązku z tym, że Olchowiec wysunięty jest najdalej na południe i dlatego, że otaczały go obfite stare grube lasy, postanowiono dla wsi wypalanie węgla drzewnego i wyrób drzewa sągów – metrów.

Wszyscy ci, którzy nie posiadali koni, robili metry i wypalali węgiel, zaś ci z końmi, wozili na przemian raz węgiel, raz drzewo metry.

Każdy mężczyzna czy silny, czy słaby miał wymierzony kontyngent.

Węgiel drzewny Niemcy stosowali do napędzania ciężarowych samochodów. Nazywali ich jakoś chyba „Holz-Wagon”. Drzewo – metry wywozili koleją aż do Niemiec mówi dalej S. Buriak.

Robiliśmy drzewo na opał dla naszej kasarni. Na każdą zimę trzeba było zrobić im dwie duże kopki, jak sterty siana.

Chcę powiedzieć, że za wypracowane szarwarki, kontyngenty, otrzymywaliśmy jeden litr wódki, kilka paczek papierosów i trochę marmolady.

Niemiecka straż graniczna, miała swój objazdowy teatr, kino-filmy, w Krempnej, woziliśmy ich tam. Do tego celu były specjalne baraki.

Zjeżdżały się z nimi furmanki z Olchowca, Smerecznego, Huty-Polańskiej, Ciechani, Grabu, Nieznajowa itd.

Nas do środka nie wpuszczali, staliśmy na dworze przy furmankach. Często padał na nas deszcz lub śnieg.

Byliśmy na ich usługi, do ich dyspozycji przez cały okres okupacji, niczym niewolnicy.

Zdarzały się i takie niespodzianki, kiedy sobie popili, a bywało to po otrzymaniu wynagrodzenia, wtedy wołali Cyganów żeby im grali na skrzypkach.

Chodzili z Cyganami po wsi i oni śpiewali a Cygani grali. Wyglądało trochę dziwnie i nie typowo ale, w tym momencie nikt z mieszkańców na drogę nie wychodził, oni w tym czasie byli agresywni.

Pod koniec zimy w 1944 roku, kiedy Rosjanie przekroczyli już granice polski i partyzantów w lesie przybywało, zabrali nam kilka par koni i wozy oraz młodych mężczyzn na furmanów i kazali się odwieźć. Pojechali w kierunku miasteczka Żmigród.

Wielu, wielu mieszkańców z Olchowca po raz pierwszy miało możliwość zobaczyć z bliska kasarnię. Co na ten temat powiedział Jan Chudyk, który mieszkał 50 metrów od niej, a jego pastwisko, graniczyło z ogrodzeniem kasarni. Bawiłem się około 5 metrów od ogrodzenia. Wszedł do mnie jeden z nich z kijem, złapał mnie za rękę i przyłał mi najmniej 10 mocnych kijów.

Siny tyłek miałem przez kilka tygodni. Nie najlepiej nam się w bliskim sąsiedztwie z nimi żyło.

Dwie moje siostry Hania i Tereska wspomina Janek, też z daleka obchodziły kasarnię kiedy szły do sklepu do wujka pod Wilśnię. Najbardziej bały się

dużego psa, który ganiał i szczekał wewnątrz ogrodzenia. Mając 12 lat, pomagałem ojcu wozić na budowę kasarni kamienie, żwir, deski i bale drewniane.

Z tego powodu, że niemiecka straż graniczna zajęła szkołę, ani ja, ani moje siostry nie chodziliśmy do szkoły.

Cieszyliśmy się po ucieczce Niemców z Olchowca, że ta piękna kasarnia wzniesiona naszymi rękami i wyrzeczeniami, w przyszłości będzie nam służyła. Marzyliśmy, że po wyzwoleniu będzie zamieniona na dom rekreacji i kultury, nie tylko dla Olchowca. Jednak frontowi żołnierze niemieccy ją podpalili. To była z ich strony ordynarna zemsta.

Nastąpiła druga połowa września 1944 roku.

Armia Radziecka toczyła bitwę o Krosno. W Olchowcu pojawili się Rosjanie, było ich dużo, może nawet więcej niż jedna dywizja.

Niemcy nacierali na nich od strony Ropianki i Wilśni, nawiązała się wielka bitwa. Zginęło ich bardzo dużo pod Wilśnią. Reszta przepawiła się przez lasy w stronę Słowacji.

Za kilka dni mówi S. Buriak, zbliżał się prawdziwy front do granic Olchowca. Wycofujący się oddziały niemieckie od strony Ropianki, podpalili kilka chałup i kasarnię.

W naszym domu zamieszkali frontowi sztabowcy. Nas przepędzili do obory. Za parę godzin wyganiali nas nawet i z obory. Mama miała przy sobie zdjęcie

mojej siostry była na robotach w Niemczech i poszła do mieszkania do oficerów i pokazała im, powiedziała, że to córka i nas pozostawili w oborze.

Za niedługo spadł na nasz dom pocisk na boisko, zabił konia i dwie krowy. Wojsko rosyjskie od strony Ropianki już wdzierало się do wsi, tymczasem Niemcy w popłochu wycofywali się w kierunku Polan, Baraniego, Grabu i na Słowację.

Kilkunastu we wsi jeszcze walczyło, mieli za zadanie powstrzymania Rosjan aby zdążyli wycofać broń ciężką.

Przy moim domu Rosjanie zastrzelili dwóch Niemców, jednego na podwórzu drugiego w mieszkaniu.

Jednak niemiecka linia frontu zatrzymała się zaraz za Olchowcem na ziemi Polany. Zacięta kotłowanina wojenna jeszcze przez kilka dni trwała i wracała się z powrotem do Olchowca.

Armia Radziecka dowaliła siły od strony Tylawy, Smerecznego i odsunęli Niemców w głąb wsi Polany i tam front zatrzymał się aż do 17. stycznia 1945 roku.

Wspomnień S. Buriaka starczyłoby na grubą książkę, tyle zdołał z niego wydusić umiejętnie stawianymi pytaniami Eugeniusz Dziadosz z Pielgrzymki mąż mojej kuzynki Anny.

Mój temat kasarni i czasów okupacji wyczerpałem.

Dalsze jego opowiadanie dotyczyło czasów po wyzwoleniu lata 1945 do 1953 roku, też interesujące.

Dziękuję im za trud, wysiłek i poświęcony czas.

Kasarnia w Barwinku.

Kilkanaście wierszy wspomnień o Barwinku piszę na prośbę Jana Fesza i Adama Fedeńczaka. Są moimi kolegami i serdecznymi przyjaciółmi. Janek urodził się w Brwinku, Adam w Nowogardzie.

Prośbę moich przyjaciół, pomogła mi spełnić urodzona w 1920 roku w Barwinku, poznacie ją niżej.

Spotkałem także osobę liczącą sobie 82 lata, już schorowaną, z dużym uszczerbkiem na zdrowiu i z nie najlepszą pamięcią.

Osoba ta była stałą mieszkanką w Barwinku od urodzenia. Po wojnie w dalszym ciągu zamieszkiwała tam do 1947 roku. Barwinek duża wieś, położona jest tuż przy granicy ze Słowacją, na szlaku Przełęczy Dukielskiej w dawnym powiecie Krosno.

Przez Barwinek od kilku wieków, przebiegał międzynarodowy szlak łączący Polskę z Węgrami przecinając Słowację.

Po pierwszej wojnie światowej, na granicy ze Słowacją utworzony został punkt celny, który wznowiono po drugiej wojnie światowej w 1961 roku.

Osoba, z którą osobiście rozmawiałem, pracowała fizycznie na placówce niemieckiej w kasarni w ramach przymusowego nakazu pracy przez cztery lata i osiem miesięcy. Na jej prośbę pozostawię ją anonimowo. Przy opisywaniu jej wspomnień nazywał ją będę „Pegi”. Zaś budynek ów wymieniał będę jako kasarnia.

A oto co udało mi się w bezpośredniej rozmowie ustalić:

W Barwinku na kasarnię Niemcy wykorzystali budynek wzniesiony przez Austrię w XIX wieku, w którym kwaterowali wojskowi w czasie zaboru. Budynek ten nazywano „Grencerówką.”

Dlatego „Grencerówką „ bo jej przedostatniego właściciela nazywano Grejncar. Zaś ostatnim był niejaki Kowalski, który budynek kupił po pierwszej wojnie światowej.

Niespotykane w tych stronach budynek postawiony został z grubego muru, z umocnionym głębokim podpiwniczeniem pod całym obiektem. Prawdopodobnie projektowany i budowany był od razu przeznaczonym na obiekt wojskowy. Taką on funkcję zaraz po wybudowaniu sprawował.

Najpierw stacjonowali w nim żołnierze austrijscy. Zaś w czasie okupacji Niemcy.

Zanim przystąpię do części zasadniczej, kilka słów wprowadzenia z dawniejszej historii, która miała miejsce bezpośrednio we wsi Barwinek. O to one:

Wiosną 1769 roku, konfederackie oddziały Puławskiego połączyły się z zaciągami formowanymi przez Węgrów głównie na Słowacji i utworzyli w Barwinku obóz, który stacjonował do 1770 r.

Po traktacie rozbiorowym Polski w 1772 roku, przez Barwinek przemaszerował korpus austriacki, którego zadaniem było przejmowanie administracji na ziemiach objętych zaborem.

Tym historycznym traktem, który łączył Polskę z Węgrami, maszerowało przez Barwinek w 1849 roku

carskie wojsko. Podążało ono na pomoc Cesarstwu Austrii do stłumienia powstania węgierskiego.

Przed I wojną światową, Węgrzy (bracia Thonet) pobudowali w Barwinku tartak, który przerabiał drzewo dla okolicznych mieszkańców.

W Barwinku mieścił się folwark mający charakter dworku, po którym do dziś pozostała aleja zachowująca dawny wygląd.

W 1938 roku nabyli go Żydzi, a czasie drugiej wojny światowej został zniszczony.

(Do w prowadzenia powyższych krótkich akapitów, o znaczeniu historycznym podparłem się książką p.t. Od Komańczy do Bartnego red. W. Grzesik i T. Traczyk)

(Część relacji na ten temat moje „Pegi,” nie było wstanie zrelacjonować poprawnie wg. dat.)

Wracając do tematu, we wrześniu 1939 roku „Grencerówkę „ zajęła niemiecka straż graniczna. Umieszczono w niej 38-miu wojskowych, pełniących funkcję granicznej straży. Ich zadaniem było, pilnowanie wyznaczonego odcinka granicy oraz nadzorowanie i kierowanie ruchem na przejściu granicznym Polska-Słowacja.

Za czasów okupacji hitlerowskiej, przejście graniczne w Barwinku miało dwa strzeżone przez nich posterunki.

Jeden umieszczony był w środku wsi przy niemieckiej placówce zwanej kasarnią. Oznaczało to, że droga w tym miejscu przegrodzona była podnoszonym szlabanem a bok stał strażnik. Jadących lub idących w stronę granicy uzbrojony strażnik legitymował,

sprawdzał, a niektórych dokładnie rewidował. Mieszkańcy wsi Barwinek przepuszczani byli bez kontrolowania.

Drugi podobny posterunek był na przejściu granicznym o tej samej funkcji ale o ważniejszym znaczeniu. Tu kontrolowano i rewidowano pojazdy i osoby piesze, przekraczające granice od strony Słowacji a także i od strony Barwinka.

Na tym posterunku przez cały czas, stało trzech uzbrojonych wojskowych strażników.

Dalsze dwa posterunki, po dwóch strażników były ruchome. Te dwie grupy strażników chodziły wzdłuż granicy po stronie polskiej.

Udało mi się dwa lub trzy razy, podpatrzeć (relacjonuje „Pegi”) tą chwilę kiedy strażnicy przyprowadzili złapanych mężczyzn przekraczających granicę w miejscach niedozwolonych. Byli nimi na pewno „kurierzy” albo zbiegowie, którzy w tych okolicach przekraczali granicę uciekając na południe aż do Włoch.

Ponieśli oni ciężkie tortury. Na ich katowanie nie dało się patrzeć nawet przez dziurkę od klucza. Innego razu udało mi się także zobaczyć złapanego mężczyznę, którego uwiązali do samochodu na tamtym posterunku przy granicy i przyciągnęli go za samochodem aż do wioski na kasarnię.

To szczęście, że na drodze leżał śnieg, i to, że był on grubo ubrany. Ubranie na nim było całe podarte. A co z nim potem robili nie będę opowiadać, bo nie mogę. Nie chcę sobie tamtej chwili przypominać. Takich akcji było wiele, ale nie każdą udawało się z bliska

zaobserwować. Za zbliżanie się w tym czasie do nich, można było zdrowo oberwać.

Wiem także, że wyżsi rangą oficerowie z Barwinka, mieli służbowy nadzór nad kasarnią w Smerecznem, w Olchowcu i jeszcze paru innymi.

Komendanci tamtych placówek przyjeżdżali tutaj bryczkami, stawali przed naszymi na baczność i pokornie przed nimi tłumaczyli się ze wszystkiego. Po pięciu latach służby trochę języka niemieckiego się rozumiało.

Chcę dodać, że nasi mieszkańcy mieli troszkę mniej kłopotu, niż wasi w Smerecznem, bo nie musieli w obowiązkowym szarwarku budować nowej kasarni. Powiem więcej, że strażnicy z Barwinka nie interesowali się miejscową cywilną ludnością.

Oni nie zaglądali na podwórka mieszkańcom, czy gospodarzom tak jak to miało miejsce u was. Mieli pełne ręce innej roboty na granicy.

Jako następna osoba swoje przeżycia z przed i po 1939 roku przedstawiła mi Anastazja Grozik.

Między pierwszą a drugą wojną światową, moi rodzice pracowali na dworku u Thonetów. Mama Anna była kucharką i gospodynią, a tato Mojżesz gajowym w lesie na Słowacji. Ja chodziłam do szkoły a po lekcjach, przebywałam z mamą na dworku.

W 1938 roku, kiedy Thoneci sprzedali cały majątek Żydom, ja już miałam prawie 18 lat.

Do Thonetów należało dużo ziemi, tartak i wielkie połacie lasów. Ich lasy ciągnęły się od Barwinka aż po Wilśnię i w głąb Słowacji. To prawda pamiętam i ja, że tuż przy Smerecznym część lasu

nazywano „Grenczerówką”. Myślę, że ta część lasów w Smerecznem należała także do Thonetów.

Były to piękne grube, wysokie jodły i grube rozłożyste buki oraz modrzewie. Tartak pracował całe 24 godziny na dobę. W tym czasie u nich ludzie dobrze zarabiali przy wycinaniu i wożeniu drzewa do tartaku.

Konie i furmani, byli nie tylko z Barwinka ale z okolicznych wsi. Ciężkie na tartaku drzewo wywozili aż za granicę do wyrabiania mebli.

Dworek był piękny, a pałac z dużą ilością pokoi, z towarzyszącymi zabudowaniami, w tym i pokoje mieszkalne. Obok mnóstwo zieleni, niewielki park, do którego sprowadzono ozdobne drzewka aż z zagranicy.

Wiosną pięknie zakwitały drzewa. Od kwiatów cudowny zapach roznosił się po całym folwarku.

Pomagałam mamie zrywać duże kolorowe kwiaty, układać bukiety i ustawiać w pokojach.

Na terenie dworku były też i stawy rybne. Hodowano w nich karpie i pstrągi. Woda do tych stawów doprowadzona była z rzeczki, która płynęła z lasu od strony Słowacji. Woda czystutka, przezroczysta, zdrojowa. Można było ją pić prosto z kamienistej rzeczki. Podróżnicy pili ją wprost garściami.

Od drogi głównej do dworku prowadziła, aleja obsadzona drzewami. Do panów Thonetów goście przyjeżdżali każdego dnia od Krosna, Rzeszowa oraz ze Słowacji, Węgier i Austrii.

Ciągle szykowaaliśmy jedzenie i różne przysmaki. Po bogatej uczcie oni przebierali się, siadali na bryczki i wyjeżdżali do lasu na polowania.

Pamiętam, że my z mamą też ciągle musiałyśmy się przebierać.

Mama w porównaniu do innych robotników nie żyła u nich zarabiała.

Mój tato Grozik Mojżesz zginął w wypadku w lesie na Słowacji przy pracy w 1917 r. Po nim z mamą otrzymywaaliśmy rentę aż do 1939 roku. Rentę otrzymywaaliśmy od państwa słowackiego.

W każdym miesiącu mama otrzymywała ze Słowacji druk, wypełniała go i wysyłała do nich odwrotną pocztą. Oto skrót:

„Zasilam wam formularz, dajcie tam sobi potwierdzenie, u tamajszoho prysłusznoho alebo metrikalnoho, czy Anastazja Grozik żyje, a co Anna Grozik ne wyszła ponowne za mój.”

Jeżeli mama zapomniała wysłać takiego oświadczenia, renty nie otrzymaliśmy. Za to na miesiąc następny były zawsze dwie.

Mama za pieniądze z renty, pobudowała w środku wsi w Barwinku drewniany domek w 1938 roku. Posiadałyśmy także w Barwinku 6 mórg ziemi. Moja ukochana mama umarła w czasie okupacji w 1941 roku, i całą własność przepisała na mnie.

W czasie okupacji udało mi się uniknąć wyjazdu do Niemiec na przymusowe roboty. Żył się ciężko, bo trzeba było ciężko pracować.

Czas wyzwolenia, front jaki przewalił się przez wieś Barwinek, przeżyłam mówi Anastazja Grozik ciężko i boleśnie. Kiedy ofensywa Armii Radzieckiej uderzyła na Barwinek w październiku 1944 roku, było to około południa. Ciężkie pociski pękały jeden przy drugim po całej wsi. Od huku trzęsła się ziemia. Po małej chwili paliło się już kilka domów.

Wybiegłam na dwór, widziałam w powietrzu unoszącą się ziemię i kamienie. Za parę minut uciekali już ludzie w stronę lasu goniąc przed sobą

bydło, konie i owce. Pociski pękały blisko nich, część bydła przewracała się. To co na ziemię padło, już się nie podnosiło. Pozostało w tym miejscu aż do całkowitego wyzwolenia.

W czasie pierwszej ucieczki na drodze i na polu zginęło już kilka cywilnych osób. Cofnąłam się do mieszkania i ubierałam w pośpiechu swojego trzy letniego synka.

Do torby włożyłam trochę jedzenia i jakieś ciuszki i też pobiegłam z dzieckiem na plecach w stronę lasu. Przedemną i za mną biegli do lasu duże grupy ludzi.

Po drodze dopędził mnie mój szwagier Piotr Madzej z żoną i małym jednorocznym dzieckiem.

Było mi trochę z nimi odważniej, więc bieглиśmy razem w głąb lasu. On jako doświadczony mężczyzna te leśne ścieżki lepiej znał niż ja.

Tymczasem we wsi artyleria swoją dalekosiężną ofensywę na Barwinek nasiliła. Prali niemiłosiernie z dział wielkiego kalibru mówi Szymon Fedeńczak.

Bili z daleka bo nie było słychać huków z armat. Mogło to być nawet dalej niż z Zawadki.

Leje po pociskach były tak wielkie, że schowałyby w nie połowę budynku. Zaraz w pierwszej godzinie walki, zginęło dużo ludzi. Nie zorientowani w wielkości niebezpieczeństwa, ludzie po pierwszych wybuchach wychodzili z domów na podwórka.

W ten sposób kilka zginęło koło domu, a spora część na drodze w czasie ucieczki do lasu. Masakra była niespodziewana i wielka.

Do lasu zawędrowaliśmy głęboko, z tą myślą, że tak daleko artyleria bić nie będzie, mówi Anastazja Grozik.

Trochę odczekaliśmy i po jakimś czasie, napaliliśmy duże ognisko. Była już jesień minęła połowa października, na dworze panował nie lada chłód.

Obok nas około sto i więcej metrów, lokowały się i inne rodziny. Słychać było płacz dzieci i osób dorosłych.

Siedząc przy ognisku, rozmawialiśmy, że po jednym lub dwóch dniach powrócimy do domu. Byłam zmartwiona, z tego powodu, że wychodząc w pośpiechu, niezbyt dojrze zamknęłam dom.

Moje zmartwienie po kilku dniach tułaczki, nie miało już najmniejszego znaczenia.

Przy dużym ognisku przesiadzieliśmy do dnia następnego. W nocy artyleria ucichła. Słychać było tylko pojedynczo, długie serie z karabinów maszynowych i od czasu do czasu głośniejsze wybuchy ręcznych granatów.

Z chwilą kiedy lekko zaświtało, obok nas przechodził w stronę Barwinka sąsiad Pilip Warchow. Powiedział, że musi przynieść coś do jedzenia i cieplejsze ubranie. Po kilku dniach dowiedzieliśmy się, że leży martwy na własnym podwórku.

Zastrzelony został przez żołnierzy.

Rano dołożyliśmy patyków do ogniska, ogrzaliśmy trochę dzieciaków i za chwilę ponowiły się wybuchy artyleryjskich pocisków. Były one daleko od nas, czuliśmy się tutaj bezpieczni.

Przy sąsiednich ogniskach, zaczął się ponowny płacz.

Dzieci nie zmieniły jeszcze swoich porannych gustów i tak jak w domu domagały się ciepłego

jedzenia i matczynej pieścioty. Akurat w tym wyjątkowym miejscu, takich zachcianek trudno było im dostarczyć. Zaś te ciut starsze, życzyły sobie natychmiastowego powrotu do domu.

Do domu? kiedy we wsi od nowa zaczynają się straszne wybuchy. Od czasu do czasu pociski zaczęły pękać bliżej naszego lasu.

Zapas patyków przy ognisku nam się skończył, wstałam i odeszłam od ogniska około 50 kroków, pochylałam się po gałązkę i usłyszałam za plecami ogromny wybuch. Pierwszy mój odruch to spojrzenie w stronę ogniska i właśnie stamtąd usłyszałam przerażający płacz.

Biegłam do ogniska ile sił, w głowie miałam setki strasznych myśli. Jeszcze nie wiedziałam co się wydarzyło, a już oczy zalane miałam łzami.

No i stała się najstraszniejsza rzecz. Nad młodym Piotrem, mężem i ojcem klęczała jego żona Anna, obcierała mu z głowy krew i płakała. Nachyliłam się i zaczęłam nim ruszać, cucić go, ale on już się nie odezwał. Z ust, nosa i uszu ciurkiem płynęła krew.

Przerażeni tą straszną tragedią, płakaliśmy wszyscy czworo. Rozpacz mojej ciotecznej siostry była niesamowita. Małżeństwem byli dopiero trzy lata. Czekali na wyzwolenie z pod okupacyjnego jarzma. Mieli wiele wspólnych marzeń, wiele planów na przyszłość: powiększenie rodziny, powiększenie gospodarstwa, kupno konia itd. itd. Wszystkie ich marzenia zabrała śmierć, pochłonął ciemny, zimny las, przerwała przekłeta ohydna wojna.

Umyłam mu twarz, położyłam ręce na piersi, zrobiłam z patyków krzyż i przykryłyśmy mu

chusteczką twarz. Odchodząc, pożegnaliśmy go wszyscy czworo. Pograżeni w głębokim smutku, zostawiliśmy go w lesie pod gołym niebem.

Pozostał tam na zawsze, z wielkimi marzeniami i wielkimi planami.

My obydwie mówi Anastazja, z małeńkimi dzieciaczkami na plecach, przez duży ponury las powędrowałyśmy na Słowację. Pierwszą słowacką wioską jaka nam pomogła była Porubka.

Tam pozostaliśmy przez kilka dni, był jeszcze jako taki spokój.

O Barwinek dopiero rozgorzała prawdziwa walka. Armia Radziecka nacierała z dwóch skrzydeł, od strony Tylawy czołgi, wozy bojowe i piechota, a od Zyndranowy piechota uzbrojona w karabiny maszynowe i moździerze.

Niemcy aby odsłonić sobie pole skutecznego likwidowania ataków wojsk rosyjskich, mówi Szymon Fedeńczak palili dom po domu. Wszędzie gdzie pojawiła się piechota, na odkrytym terenie, Niemcy kosili ją niemiłosiernie.

Krwawe walki o Barwinek toczyły się przez kilkanaście dni. Z tego wielkiego piekła, większa część mieszkańców uciekła przed frontem na Słowację, pozostali ukrywali się w lasach.

Ci wszyscy, którzy z domów nie mogli uciec, byli skazani na łut szczęścia. Nie wielu z nich ocalało życie.

Po kilku dniach pociski zaczęły spadać na stronę słowacką. Z Porubki kilkanaście osób mówi Anastazja wyruszyliśmy w stronę Wranowa. Przez kilka

dni poszukiwaliśmy miejsca kto by nas do siebie przyjął. Po długim poszukiwaniu zatrzymaliśmy się we wsi Kładkowce.

Przyjął mnie do swojego domu, wójt. Dał mi pokój, ubrał mnie, dali nam jedzenie. Poprosiłam go o pracę. Zatrudnił mnie w swoim domu na kucharkę.

Pieklam dużo chleba, myślę że może do jakiegoś sklepu. Było mi u niego dobrze. Miałam możliwość w dostarczaniu jedzenia naszym uciekinierom.

Ze mną była Marysia Fedeńczak (obecnie nazywa się Baj.)

Spokojnie pracowało mi się u niego do miesiąca lutego 1945 roku. Kiedy front rosyjsko-niemiecki dotarł do Kładkowic, ruski pocisk trafił w ścianę mojego pokoju. W małym ułamku sekundy widziałam jak do pokoju waliła się ściana.

W tym momencie zrobiłam jeszcze szybki ludzki odruch, pociągnęłam na głowę sobie i dziecku pierzynę. Pocisk eksplodował, mnie i mojego synka Stefana od śmierci uratowała tylko gruba pierzyna.

Po eksplozji pocisku, ja straciłam przytomność. Potem dowiedziałam się, że jacyś mężczyźni znieśli mnie i synka do piwnicy i tam odzyskałam przytomność.

Chodzić nie mogłam, nie miałam równowagi, byłam cały czas w szoku. Na drugi dzień zawieźli mnie do szpitala i tam leżałam prze dwa tygodnie.

W następnym dniu przez Kładkowce, mówi Maria Baj, maszerowało dużo radzieckich żołnierzy.

Przyglądałam się im w towarzystwie słowackich mieszkańców. Szli w szyku wojskowym czwórkami ponad godzinę na front. Jeden ze słowackich mężczyzn, a był nim były żołnierz słowackiej armii, która w przymierzu z armią niemiecką walczyła przeciw

Rosjanom, i co powiedział: „ na jednu godzinu ich budie „ co w przetłumaczeniu oznaczało, że na jedną godzinę walki ich wystarczy.

On był żywym świadkiem na froncie i widział jak Niemcy przy tej technice uzbrojenia Rosjan koszą.

Do Barwinka mówi Anastazja powróciłam razem z Marysią Fedeńczak w miesiącu marcu 1945 roku. Po roztopach śniegu, pojechałam ze znajomymi do lasu i pozbierałam kości mojego szwagra Piotra Madzeja. Razem z nimi i sąsiadami pochowaliśmy je na cmentarzu w Barwinku.

W czasie walk o Barwinek, zginęło około 80 cywilnych ludzi. Więcej aniżeli zmarło śmiercią naturalną w ciągu 20 lat przed wojną.

Swoje wspomnienia chciałam zakończyć smutną historią jaką musiałam przeżyć po powrocie do Barwinka. Otóż szukałam swojej rodziny koleżanek i przyjaciół. Między innymi szukałam zaprzyjaźnioną i bliską mi rodzinę. Odnalazłam ich, powiedziano mi, że Jan (nawiska nie wymieniam) tragicznie zginął parę tygodni po wyzwoleniu.

Jechał koniem, furmanką na Słowację, chciał stamtąd przywieźć trochę mąki, cukru, słoniny i co tylko możliwe, bo w Barwinku i w okolicach było wszystko zniszczone. Ludziom zaczął doskwierać głód.

Ze sobą zabrał na wymianę i do sprzedania, trochę ocalałych drewnianych wyrobów rzemieślniczych. Granica w tym czasie była jeszcze otwarta, jechał drogą całkiem legalnie.

Zaledwie kilka kilometrów za granicą na Słowacji, najechał wozem na minę. Po detonacji siła wybuchu, rozrzuciła wszystko w drobnych kawałkach

w promieniu kilkunastu metrów. To szczęście mówi Anastazja, że ktoś znalazł obok rozbitego wozu jakiś dokument w poszarpanym ubraniu na podstawie, którego ustalił kto tą ofiarą był i skąd był.

I w ten sposób zawiadomiono rodzinę, która przyjechała pozbierała wszystko i godnie go pochowała jak drogiego męża i ojca. Bardzo długo po tej przykrej dla mnie wiadomości, nie mogłam się pozbierać. Po dzień dzisiejszy pamiętam, że ogromnie płakałam i przeżywałam to jego nieszczęście.

Kiedy zaczęła mi przekazywać Anastazja to ostatnie wspomnienie, po kilku słowach, zanikał jej głos i przestała mówić, spojrzałam na nią, jej starej biedulce trzęsły się usta, a z oczu ciurkiem leciały łzy.

Natychmiast przerwałam swoje zapiski, zrobiłem jej herbatę i zaproponowałem, że na dzisiaj już tego wywiadu wystarczy. Po godzinie luźnej rozmowy, odjechałem do domu. Żegnając Anastazję, zastrzegła mi, że jutro mam obowiązkowo przyjechać i dokończymy. Próbowiałem jej odmawiać dalszego kontynuowania, ale stanowczo powiedziała: „Ja z tym wewnętrznym smutkiem chodzę całe życie i muszę się z kimś nim podzielić.

Powróciłem więc na drugi dzień i wysłuchałem ją do końca, ale wszystkiego i tak napisać nie mogłem. To było bardzo smutne.

Przyznam, że ja jej wspomnienie też przeżyłem, tym bardziej, że synowie ś.p. Jana są moimi kolegami.

Nasuwa mi się od razu takie skojarzenie, mianowicie, ile trzeba było mieć szczęścia aby przeżyć, aby nie paść ofiarą wojny, już po wojnie.

Do wojennych wspomnień przeżytych w Barwinku, dokłada się także mój kolega Bazyli Fesz.

Jego i rodzinę, uderzenie artyleryjskie armii Radzieckiej na Barwinek, mówi Bazyli zastało przy obiedzie. Siedzieliśmy wszyscy przy stole. Ciężkie pociski najpierw pękać zaczęły na pozycjach niemieckich na polach za wioską. Po małej chwili pękać zaczęły i we wsi.

Ojciec i nas dwóch starszych chłopców, wyszliśmy na podwórko. Patrzyliśmy na to z wielkim niepokojem. Prawdę mówiąc o wojnie myśleliśmy zupełnie inaczej.

Przez 40 minut, może jedną godzinę, działa się to ponad 500 metrów od naszego domu. W tym czasie zbieraliśmy podręczne rzeczy, ubranie i jedzenie do koszyków, woreczków i wkładaliśmy razem ze sąsiadem na wóz.

Resztę ciężkich przedmiotów oraz worki ze zbożem, mieliśmy już ukryte w piwnicy. W wielkim pośpiechu wraz ze sąsiadem wyruszyliśmy w stronę lasu na górę „Łaziska” w kierunku starej wieży obserwacyjnej.

Przed sobą pognaliśmy cały inwentarz, a było tego sporo, 4-ry krowy, 4-ry jałówki i stadko owiec z nadzieją, że za dzień albo dwa w całości powrócimy do domu.

Widzieliśmy, że w tym samym czasie, artyleria i spora część niemieckiej piechoty przemieszczała się z Barwinka na Słowację. Ci żołnierze, którzy pozostali we wsi i na polach Barwinka, bronili się ręczną bronią maszynową.

Wszyscy cywile, którzy w lesie do nas dołączali po godzinie i dwóch, mówili, że we wsi zginęło już dużo ludzi w czasie ucieczki z domów.

Blisko mojego domu u sąsiadów bestjalsko zamordowanych zostało: 17- sto letni chłopak oraz starszy mężczyzna. Zostali posądzeni przez żołnierzy niemieckich za szpiegów.

W czasie koczowania w lesie, doszedł do nas rosyjski żołnierz- zwiadowca. Poblądził i nie umiał powrócić na swoją stronę.

Po konsultacji z mężczyznami, zażyczył sobie aby go przeprowadzić przez niemiecką linię frontu. Wybrało się z nim dwóch naszych mężczyzn i słuch po nich zaginął na zawsze. Jaki spotkał ich los tego nie dowiedzieliśmy się nigdy.

Rosjanie przez trzy dni prowadzonych walk do wsi nie wkraczali, za to cofnęli się Niemcy ze Słowacji i spalili wieś doszczętnie. Ciężkie walki o Barwinek rozgorzały ponownie.

Powtórne uderzenie Rosjan trwało jeszcze cztery lub pięć dni, po tym czasie Rosjanie odrzucili Niemców na stronę słowacką.

Do wyzwolonej wioski, powróciliśmy z lasu po tygodniu. Spotkaliśmy spalony nasz dom, całe nasze mienie i spaloną całą wieś.

Dokładnej daty wyzwolenia Barwinka nie pamiętam, ale była to już druga połowa października 1944 roku.

Żyć się tutaj nie dało z kilku powodów.

Po pierwsze, że nie było gdzie mieszkać, wszędzie leżało dużo trupów cywilnych i wojskowych, nie było co jeść a w całej wsi nadal pękały pociski.

Tym razem prała na nas artyleria niemiecka ze strony słowackiej. Czekać na śmierć nie było sensu.

Tato zabrał nas wszystkich na furmankę i pojechaliśmy w stronę Dukli. W tym momencie pozostał nam tylko wóz, koń i dwie krowy.

W Równym za Duklą mieszkaliśmy dwa tygodnie, następnie dwa w Króliku a na zimę powróciliśmy do Barwinka do ciotki Wanat.

W górnej części wsi, ocalało sześć domów a w tym był dom siostry mojego ojca.

W jednym małym pokoiku jaki nam użyczyła ciotka zimowało nas 9 osób. Do wiosny przeżyliśmy dzięki jednemu zagonowi ziemniaków, który zachował się daleko za wsią i dobrze że nie znaleźli go rosyjscy żołnierze, którym także brakowało kartoszek do wojskowej kuchni.

Barwinek front zniszczył potwornie, podobnie jak pozostałe wioski począwszy od Dukli w stronę Tylawy i w stronę Hyrowy, Olchowca i Smerecznego.

Zakończenie.

Drogi czytelniku, nie pisałem wstępu, za to napiszę, krótkie zakończenie.

Zabierając się do wyrzucenia z siebie tego wszystkiego co przeżyłem, tego co widziałem i tego co usłyszałem, pragnę wszystkich uspokoić i przekonać, że nie czynię tego z powodu, żeby się pokazać lub zaistnieć.

Po prostu kieruję się tą samą zasadą co moja bohaterka Anastazja, chcę się podzielić ze wszystkimi tym, co nie z własnej woli musieliśmy przeżyć i wycierpieć.

Nie podszywam się także pod literata, bo takim nie jestem.

Tych wszystkich, którzy chcą przeczytać to moje skromne dzieło, proszę aby mnie surowo nie recenzowali i surowo nie oceniali.

Proszę to czytać nie jako powieść, ale tak wprost, jak się słucha bądź czyta wspomnienia, bo to są wspomnienia i nie tylko moje, ale wielu, wielu ludzi.

Dla ujawnienia niektórych wątków historii, tej bardziej intymnej, posłużyłem się trochę fikcyjną fantazją, podstawiłem też i nie prawdziwe imiona moich bohaterów.

Uczynić to musiałem, ponieważ pokazać chciałem prawdziwość codziennego życia, które to fakty może nie nagminne, ale miały miejsce i odbiły się w pamięci ludzkiej.

Myślę, że takiej bogatej historii i smutnych przeżyć tysięcy ludzi, nie można zamknąć do trumny,

tak sobie bez wyrzutów sumienia. Do całej fantastyki wspomnień, wykorzystałem także moich znajomych.

Czytelnika raz jeszcze proszę, o wyrozumiałość i pobłażliwość, jeżeli zebrane wspomnienia nie są ciekawe, bądź mało interesujące, gorąco za nie przepraszam.

SPIS TREŚCI.

<i>Jesień 1939-1940 rok.....</i>	<i>1</i>
<i>Ewa i Michał nie spełniona miłość.....</i>	<i>5</i>
<i>Osamotniona Hania.....</i>	<i>9</i>
<i>Straż graniczna w szkole.....</i>	<i>12</i>
<i>Zimowe wieczory i „Hazard „.....</i>	<i>15</i>
<i>Marysia i Michał tragiczna miłość.....</i>	<i>21</i>
<i>Smereczne i okolice</i>	<i>28</i>
<i>Wiosna i pierwsi ochotnicy do Niemiec.....</i>	<i>30</i>
<i>Kontyngent rolniczy</i>	<i>36</i>
<i>Przymusowy wywóz młodzieży do Niemiec</i>	<i>38</i>
<i>Nauczanie w czasie okupacji.....</i>	<i>38</i>
<i>Wspólne tańce z żołnierzami niemieckimi.....</i>	<i>44</i>
<i>Rok 1942 budowa kasarni.....</i>	<i>47</i>
<i>Powrót do szkoły.....</i>	<i>60</i>
<i>Ratujcie tradycję.....</i>	<i>62</i>
<i>Łapanki.....</i>	<i>67</i>
<i>Dezercja Michała i Grzegorza.....</i>	<i>74</i>
<i>Bitwa o Smereczne i tragiczna śmierć Michała..</i>	<i>79</i>
<i>Moja rodzina i ja w czasie okupacji.....</i>	<i>85</i>
<i>Zasługują na przypomnienie</i>	<i>99</i>
<i>Kasarnia i wyzwolenie ólchowca.....</i>	<i>109</i>
<i>Kasarnia i wyzwolenie Barwinka.....</i>	<i>117</i>
<i>Zakończenie.....</i>	<i>126</i>
<i>Pomoc i literatura.....</i>	<i>133</i>
<i>Podziękownie</i>	
<i>Pomoc przy dofinansowaniu wydania książki</i>	<i>134</i>

Pragnę serdecznie podziękować poniższym osobą za udzieloną mi pomoc w:

- dostarczeniu mi wywiadu,
- w udzieleniu mi wywiadu,
- w dostarczeniu mi zdjęć ze skanera,
- za rozmowę związaną z tematem książki,
- za pomoc w jej wydrukowaniu.

Jarosławowi Zwolińskiemu z Koszalina,
Annie i Eugeniuszowi Dziadosz z Pielgrzymki,
Stefanowi Buriak z Tylawy,
Teresie i Janowi Chudyk z Olchowca,
Michałowi Kucyrka ze Stargardu,
Michałowi Buriak z Osiny,
Marii i Teodorowi Gocz z Zyndranowy,
Anastazji Grozik z Nowogardu,
Adamowi Fedeńczak z Nowogardu,
Szymonowi Fedeńczak z Żabowa,
Marii Baj z Żabowa,
Teodor Chudyk ś.p. z Tylawy.
Bazylemu Fesz,
Bohdanowi Kichowi.

Wykorzystana literatura.

J. Zwolińskiego książka p.t. „Łemkowie o obronie własnej.”

W. Grzesik i T. Traczyk przewodnik krajoznawczy zatytułowanym „Od Komańczy do Bartnego.”

Zdjęcie na kładkę czołową i końcową wykorzystałem z kwartalnika „Zahoroda” nr 4 (31) 2001 za pozwoleniem redakcji

Nowogard 14.02.2002

W wydaniu książki udział wzięli;

<i>Autor książki</i>	<i>Aleksander Chudyk</i>
<i>Skład komputerowy</i>	<i>Andrzej Chudyk</i>
<i>Projektowanie okładki</i>	<i>Andrzej Chudyk</i>
<i>Skanowanie zdjęć</i>	<i>Andrzej Chudyk</i>
<i>Korekt tekstu</i>	<i>Teresa Chudyk</i>
	<i>Aleksander Chudyk</i>

Książkę wydano na koszt autora w małym nakładzie.
Autor zastrzega sobie przedruku bez jego zgody.

Książkę zamówić można pod adresem:
72-200 Nowogard
ul. Leśna 11/13
Chudyk Aleksander

Placówki mojego pomysłu i mojej kuchni.

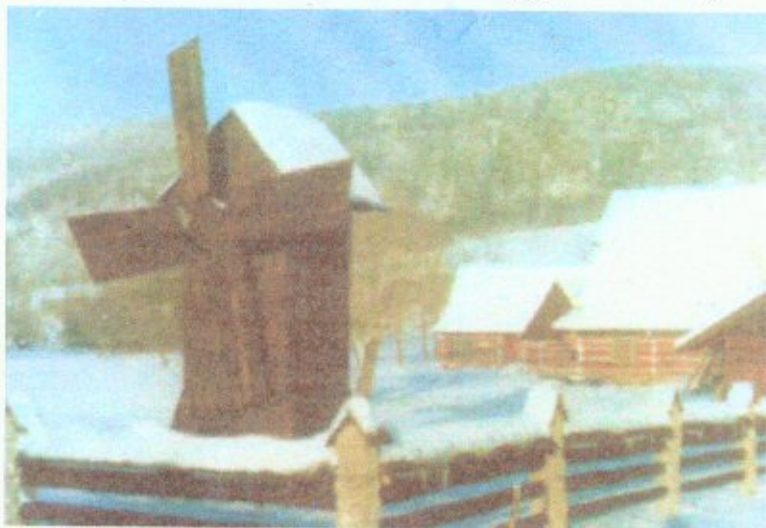
Porcja na cztery osoby:

150 gram twarogu pół tłustego ,
5 sztuk jajek.,
2 łyżki pszennej mąki,
1 duży tarty ziemniak,
100 gram wędliny (boczek, kielbasa, szynka .
pół cebuli.

Sposób przyrządzania:

Twaróg pokruszyć widelcem na drobno w miseczce
lub pojemniczku litrowym wysokim.
Wybić do tego 5 jajek i dodać 2 łyżki mąki.
Ziemniaka obrać i zetrzeć na tarce.
Wszystko to razem zmiksować mikserem lub dobrze
wymieszać łyżką jak na placki ziemniaczane.
Wędlinę, cebulę pokroić na drobno i podsmażyć na
na patelni leciótka i wmieszać do pozostałych
produktów i wymieszać. Do smaku dodać soli,
pieprzu, troszeczkę proszku do pieczenia.
Smażyć na tłuszczu jak placki kartoflane, najlepiej
na smalcu. S m a c z n e g o .

Wspomnieniom ciąg dalszy



Na podstawie osobistych wspomnień oraz relacji kolegów, sąsiadów i znajomych ze Smerecznego i okolicznych wsi, z czasów przedwojennych, okresu okupacji hitlerowskiej i czasu powojennego, wydałem dwie książki.

Pierwszą pod tytułem „Wspomnienia z życia Smereczan koło Dukli”. (2000 r.)

Drugą obecną p.t. Kasarnia przyczyną dramatu 1939-1944 (2002). **Obie wydane zostały w małym nakładzie** ponieważ finansuje je sam ze skromnej emerytury. Książki można kupić u mnie po kosztach wydania. Wysyłam je za pobraniem pocztowym. Adres na początku książki.